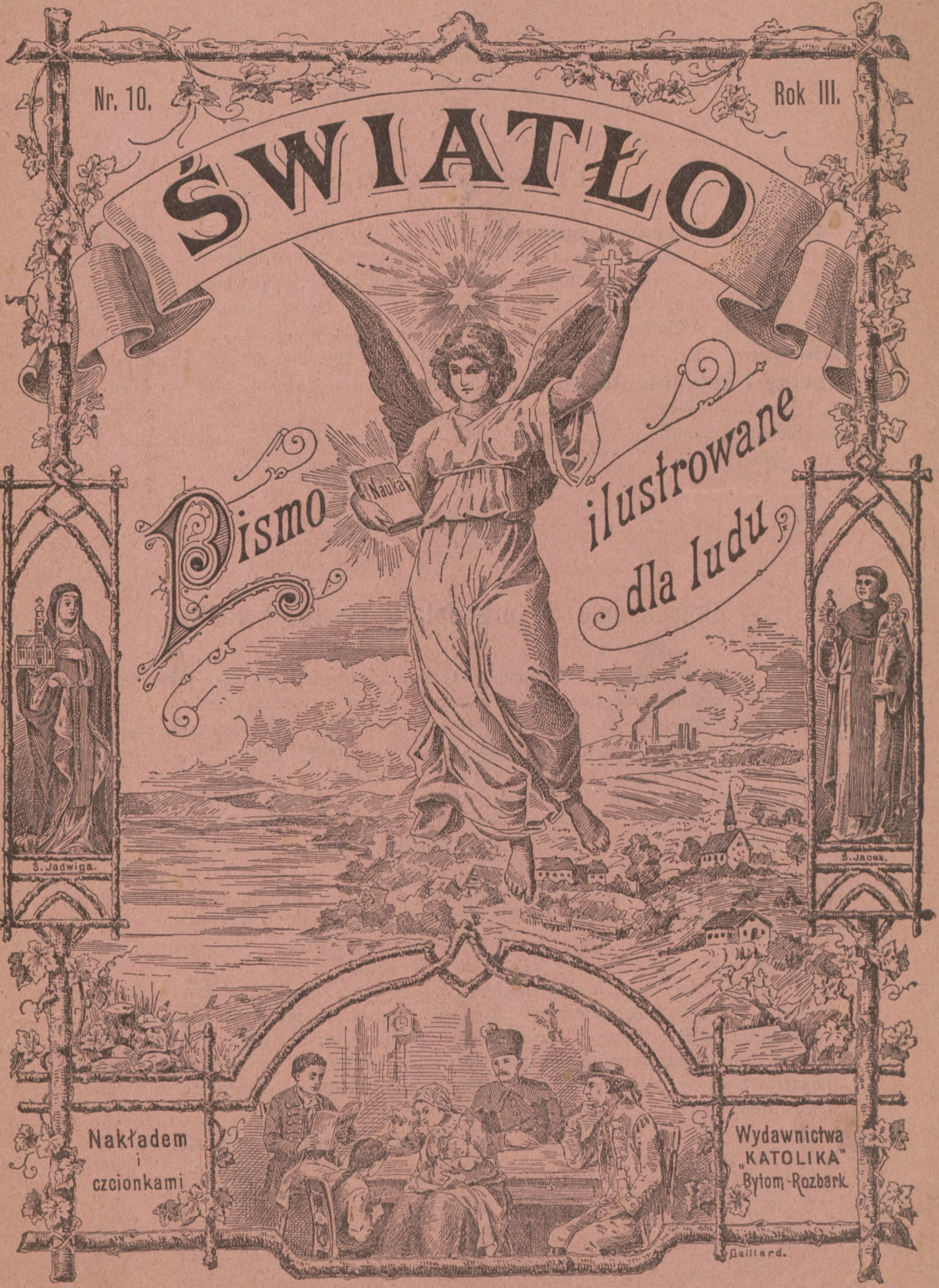
Cena 35 fen. = 25 cent.



Treść zeszytu 10.

Zaproszenie do przedpłaty na IV. kwartał.

Niniejszem zeszytem zaczynamy 4ty kwartał trzeciego rocznika pisma naszego. Zakładając polskie pismo ilustrowane ludowe, którego dotychczas nie było jak daleko sięga nasz język polski, liczyliśmy na gorliwe poparcie nie tylko ludu górnoszląskiego, dla którego i wśród którego Wydawnictwo „Katolika“ od lat tylu pracuje — ale całego społeczeństwa polskiego.

Wszelkich starań dokładaliśmy ciągle dotąd, aby sprostać zadaniu, jakie „Światło“ sobie stawiło — w tym kierunku i nadal pracować będziemy. Jeżeli nie uczyniliśmy zadość wszelkim wymaganiom, prosimy o życzliwą pobłażliwość łaskawych naszych Czytelników.

„Światło“ chce szerzyć oświatę ludową w duchu katolickim, rodzinnym, służąc zarazem rozrywce umysłowej. Zawiera umoralniające powieści, życiorysy mężów zasłużonych, opowiadania historyczne i pouczające opisy.

Każdy zeszyt ozdobiony jest pięknemi rycinami.

Dziś, gdy z wszech stron nacierają na język nasz ojczysty, pismom publicznym przypada zadanie pielęgnowania go i szerzenia oświaty rodzimej: tem bardziej prosimy każdego kochającego język swój, popierać pismo nasze, które w rodzinach polskich ma ugruntować przywiązanie do tego języka! Im większego doznajemy poparcia z strony publiczności, tem lepiej uposażyć możemy pismo nasze co do treści i ilustracyi.

Redakcya „Światła“.

ŚWIATŁO

Rok III. Bytom G.-Sz., 1. Października 1889. Nr. 10.

„ŚWIATŁO“ wychodzi raz na miesiąc 1-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi na poczcie lub w Eksp. „Katolika“ **1 m.** Zeszyt pojedyńczy kosztuje 35 fen. = 25 cent. — „ŚWIATŁO“ zapisane jest w liście pocztowej pod Nr. 81. (Zeitungs-Preisliste Nr. 81.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 30 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

SZCZĘŚCIE NA WSI.

POWIEŚĆ

I. A. ŁUKASZKIEWICZA.

(Ciąg dalszy.)

Gdy wyszedł Brożyna rzuciła się matce na szyję z płaczem, mówiąc:

— Matulu, matulu, nowe nieszczęście znowu spadło na nas.

— Wola boża, dziecię — całując ją pocieszała matka. — Módlmy się, cierpmy i czekajmy. I ta burza przeminie.

«Ja już swoje zrobiłem. Bierz swatów i przychódź z oświadczynami, kiedy chcesz.» Takie otrzymawszy polecenie od Brożyny, przygotował Grześ co potrzeba, aby szumnie i okazale z oświadczynami wystąpić.

Na nic się jednak zdała świetność cała, okazałość i błyskotliwe podarunki, jak namowy przechwałki, obietnice, a potem groźby i odgrażania wójta, pisarza i majsterka, który się także do orszaku przyłączył, obie biedne niewiasty ani złudzić, ani zastraszyć się nie dały. Nie mając sił ani poparcia, aby stawić czoło potężnym przeciwnikom, uzbroiły się w ten cichy, głuchy opór, jakim zwyciężają zwykle słabi. Kto dużo cierpiał, ten nie boi się cierpienia nowego, a dobra sprawa, choć gnębiona przez silniejszych samolubów, zwycięztwo na końcu odnieść musi.

— Niech się litość w tobie odezwie, dziewczyno, jeżeli miłości dać mi nie chcesz wcale — padając przed Józką na kolana prosił Grześ namiętnie. — Wiem, że czytasz w mem sercu, jak cię kocham, a kocham z całej duszy. Józiu, musisz być moją, bo nad życie cię kocham; musisz być moją, bo inaczej śmierć sobie zrobię; musisz być moją, bo tego wstydu nie przeniosę na sobie, abyś mną wzgardziła, a poszła za innego.

— Wstań Grzesiu, wstań, bo na nic prośby twoje — odpowiedziała Józka ze drżeniem, ale z dziwną jakąś wewnętrzną odwagą. — Mówi przez ciebie nie miłość, ale obrażona duma. Chwaliłeś się nieraz przed ludźmi, że muszę pójść za ciebie, więc teraz chcesz postawić na swojem. Mówisz mi o miłości, którą już przed pięciu laty przysięgałeś Marysi. Wróć Grzesiu do niej, wróć, bo biada kłamcom na świecie i uwodzicielom niewinnego serca.

— Przysięgam Bogu i jego aniołom, że Maryśki nie kocham, ale ciebie i tylko ciebie.

— Słowa to tylko i nic więcej. Ty mnie nie kochasz, a ja ciebie także nie. Pocóż mamy się wiązać, aby poznać naocznie po ślubie, żeśmy nie dla siebie stworzeni. Życie jest ciężkiem, pocóż go sami rękami własnemi robić mamy nędznem, nieszczęśliwem lub przeklętem.

— Ty nie chcesz mnie, bo ci się surdut czarny krawca podoba — wstając z pogardliwym wzrokiem mówił parobek. — Sukmana biała, to nędza, chłopska kapota nieszczęściem jest tobie.

— Wolę ja białą sukmanę i stan chłopski kocham, ale czemuż chłopcy pomijali mię dla tego, żem biedna sierota? czemuż dotąd

żaden nie przemówił do mnie łagodnie i uczciwie, jak to Białas uczynił? Czemuż i ty nie do chłopskiej wołasz mię pracy, lecz wabisz jakiemś państwem, czy szafarstwem we dworze?

— Ho, ho, jak widzę, wy tu do północy przemawiać się będziecie — wmieszał się Brożyna. — Dalipan, szkoda darmo strzępić usta. Ot, tyś chłopka, on chłop, dajcie sobie ręce, pobierzcie się i bądźcie szczęśliwi. Gdzie są pierścionki, podajcie mi je, ja tu zaraz koniec zrobię tym ceregielom.

Otrzymawszy od wójta pierścionki, pochwycił Józkę za rękę i przemocą chciał jej eden nasunąć na palec.

Szarpnięciem nagłem a gwałtownem wydarła dziewczyna swą rękę i cofając się jeden krok w tył, zawołała z wyrzutem i oburzeniem:

— Szwagrze, zastanów się, czyż mię zawsze jeszcze za dziecko uważasz? Czy na taką zarobiłam u ciebie wdzięczność? Już zapomniałeś ową noc straszną w jesieni, kiedyto wiatr wył jękami potępieńców, dalekie błyskawice strasznym uśmiechały się ogniem, a topielice z głębin naszej rzeki chude choć srebrne wyciągały ręce... Czy na to niosłam ci ratunek, abyś ty dzisiaj popychał mię do zguby? Szwagrze, ja nic więcej nie powiem, ale sumienie niech ci powie twoje, czy postępujesz godziwie.

Słowa te, gdyby grom, ogłuszyły chwilowo Brożynę. Nie spodziewał się, aby Józka zdradziła kiedykolwiek ową nocną nad rzeką przygodę. A teraz stało się to w obecności wójta i pisarza, którzy po nitce mogli dojść do kłębka i pociągnąć go do odpowiedzialności, za owe porzucone materjały do podpalenia przed chatą Zielińskiego. A gdyby nawet nie spotkała go kara, nie minąłby wstyd, poniżenie, a i cała zasługa odmiany życia wydałaby się ludziom nie tryumfem ale pokutą, nie dziełem jego własnem, ale dziełem Józki.

Myśli te jak błyskawica przebiegły mu nagle przez głowę i odsłoniły przykrą przyszłość. Potrzeba było ratować się przed poniżeniem i śmiesznością, a innego wyjścia nie było, jak droga kłamstwa. Jedno złe pociąga za sobą drugie, majsterek zrobiwszy występny układ z Grzesiem, stanął znowu na pochyłości, po której stoczyć się do zguby tak łatwo.

— Rzeka... ratunek... — wyrzekł powoli jak gdyby przypominał sobie coś takiego, co stało się bardzo dawno. — A tak, prawda, przypominam sobie noc onę, kiedy czarownice odprawiały djabelskie na ziemi tańce, a tyś duszą i ciałem oddać się im chciała. W głupocie swojej rzucić się chciałaś do rzeki, a ja tylko z wielkim trudem uratowałem ci życie. I teraz za mój dobry uczynek płacisz mi nieposłuszeństwem, pogardą... Oto wdzięczność ludzka! rób im dobrze, radź uczciwie, pomagaj, ratuj, broń, to cię błotem obrzucą za to. Taki to świat dzisiejszy, pełen kłamstwa, fałszu, przewrotności i obłudy. A niechże was bieda bije, niech zje nędza, gniecie nieszczęście, ho, ho, ja was nie znam i znać nie chcę. Wyście niegodne, aby wam rękę podać; gińcie marnie niewdzięcznice, nie znam was.

To powiedziawszy gwałtownie i szybko, aby nikomu nie dać przyjść do słowa, wyszedł rzuciwszy silnie drzwi za sobą. Podobnie silnie trzasnął drzwiami od drogi, aby myślano, że wyszedł na wieś.

Brożyna nie wyszedł jednak z chaty, lecz cichaczem wrócił pod drzwi teściowej, i podsłuchiwał, czy też pisarz nie będzie wybadywał Józki. Wprawdzie wyraziła się ona zbyt ogólnikowo, ale pisarz był chytrym i przebiegłym człowiekiem, łatwo po sprzeczności ich mowy mógł wywnioskować, że poza zasłoną słów kryje się jakaś ważna tajemnica.

Pisarz jednak był pod dobrą datą i na tę familijną sprzeczkę nie wiele zwrócił uwagi. Po wyjściu majsterka coś tam o zgodzie w rodzinie prawił i w imię tej zgody przyjąć Grzesia zalecał, wójt parę wyrzucił przekleństw, parobek westchnął kilka razy głęboko, niby miech kowalski — z rozpaczy zapewne — i wnet opuścili goście izbę i chatę matki Barbary, klnąc w sieni i na drodze na grochowy wianek, którego otrzymać wcale się nie spodziewali.

Długo chodził Brożyna po swojej izbie, zanim pomyślał o spoczynku. Obudził potem drzemiącą już żonę i rzekł:

— Słuchaj, kobieto, prześladuje mię nieszczęście. W jesieni zbrzydziła sobie Józka życie, podobie jak ów sierota prześladowany przez starszych braci, o którym nieraz ci opowiadałem, i miała zamiar utopić się w rzecze. Licho jakieś zaniosło mię także nad wodę i ot, spłoszyłem dziewczynę. Bogdajbym tam był nie chodził, miałbym dziś całe pole bez kłopotu.

Nieraz ludzie chwytają się wygodnej lub przyjemnej dla siebie myśli, często nieprawdziwej lub nieprawdopodobnej, wierzą w nią święcie i trudziłby się daremnie ten, ktoby chciał ich z błędu wyprowadzić. Podobnie majsterek sam uwierzył swemu kłamstwu i najmocniej był przekonany, że przeczuwając złe zamiary Józki, wyszedł naprzód i czekał nad rzeką, aby przeszkodzić jej w ich wykonaniu.

Nazajutrz nie myślał wcale Grześ o tem, aby złożyć raport ekonomowi o wczorajszych swatach. Obawiał się gniewu jego i wolał, aby pisarz lub wójt wytrzymali pierwszy atak. Niestety odszukał go ekonom kryjącego się po kątach i badał o najdrobniejsze szczegóły. Grześ kłamał jak mógł i chwalił się ile potrafił, a winę całą zrzucił na swatów, którzy krzykami, przekleństwem i groźbą popsuli całą sprawę. Kobiety zacięły się, a łzy jego, prośby wymowne i słodkie miłości słowa nie potrafiły je zmiękczyć wcale.

— Głupiś ze swą miłością — wybuchnął pan Słomka — chłopa pozyskasz sobie i przekonasz najprędzej batogiem i kijem.

— Wielmożny pan kazał obchodzić się grzecznie...

— Otóż przekonałeś się, że chłop nie zna się na grzeczności, na ludzkości. Wszystko to bydlęta bez wyjątku. Szkoda mego czasu i pieniędzy. Nic jeszcze nie ma straconego. Jeszcze one tarzać i wić się będą u mojego progu, jak tylu innych, a wtenczas zobaczymy.

— Ja już dawno myślałem, że na upartą babę innego nie ma lekarstwa.

— Słuchaj, ile jest bydła u Barbary?

— Ani sztuki; prosiaka tylko mają.

— Żebyś mi go jeszcze dzisiaj sprowadził do dworu, a powiesz, żeś go złapał w kapuście.

— Dobrze, proszę pana — odpowiedział Grześ i zaśmiał się szyderczo, jak gdyby chciał powiedzieć, że mu nie nowina z wprawą podobne spełniać rozkazy.

I dopełnił rozkazu. Z pomocą Brożyny wykradł nocą prosiaka z chlewa i zapędził do dworu. Poszedł potem w pole, porył, poniszczył zagony młodej kapusty i kawał dotykającej pszenicy.

Następnego dnia przywołany do dworu wójt, otrzymał od ekonoma wskazówki w jakiej wysokości oszacować ma szkodę, a ponieważ wiedziano, że Barbara nie miała pieniędzy na jej zapłacenie, więc odpowiednią ilość dni odrobić miała jej córka we dworze.

Z wielkim krzykiem i hałasem zarządził pan wójt «komisję», która udała się na miejsce szkody. Przysięgli taksatorowie oszacowali szkodę na 30 złr.

Matka Barbara protestowała przeciw temu orzeczeniu, wykazując, że szkoda widoczna 5 złr. nie przenosi, ale daremnie.

— Złodziejstwem żyć chcecie na świecie — wołał rozsierdzony wójt — a w dodatku obrażacie urząd, komisję?! Batogami was wychłostać każę, do aresztu zamknę, lub z gminy wyrzucę. Leniwców, oszustów, złodziei niepotrzebuję we wsi.

— Jam przecież prosiaka w pole nie wiodła — broniła się kobieta — zamknęłam go wieczorem w chlewie, jak zwyczajnie, a jeżeli wydobył się i w pole wybiegł, toć to przypadek. Pierwszy raz zdarzyło mi się coś podobnego.

— Pierwszy raz... każdy złodziej złapany mówi, że pierwszy raz ukradł. Znam ja was oczajdusze, łyki, drapichrusty, chwalicie się poczciwem życiem, dlatego, że was dotąd nikt nie przytrzymał za rękę. Jak zapłacisz raz porządnie, to ci się na drugi raz nie zechce łakomić na cudze.

— Ja pieniędzy nie mam, niechże sobie więc dwór sprzeda prosiaka i szkodę pokryje.

— Wy mi tu nie rozkazujcie, kto ma sprzedawać wieprzaka. Ja tu jestem, co dyktuje prawo, bo ja prawo znam. Jeżeli pieniędzy nie złożycie w kancelaryi do wieczora, jutro wasza córka pójdzie do ekonoma na dni siedmdziesiąt odrabiać karę.

— O Święci Patronowie Polscy! — załamując ręce zawołała Barbara — to wy mię z córką chyba żywcem zgubić chcecie. Panie wójcie, niedawno w swaty, przychodziliście po moję córkę i chwalili jej uczciwość, a teraz przez zemstę pchacie ją na oczywistą zgubę? O nie, ja na to nie pozwolę. Jeżeli już odrobić karę trzeba, to odrobię ją ja, ale córki do dworu nie dam.

— Wasza robota i dwudziestaka na dzień nie warta.

— A dlaczegoż gospodarze płacą mi po 30 i 40 centów?

— Milczeć i nie gadać mi tu w kancelarji, bo areszt i kije. Prawo każe szkodnikowi płacić za szkodę, a ja trzymam się prawa. Łaskę wam robię, że nie zlicytuję chałupy, ale karę odrobić pozwalam. Jeżeli Józka jutro nie pójdzie sama, to ją wartownikami odstawić każę do dworu i kwita.

Wójt był srogi i twardy. Popierany przez ekonoma i karczmarza, już poraz trzeci godność naczelnika gminy piastował. Wobec władz powiatowych płaszczący się, dla gminy strasznym był tyranem. Korzystał z każdej sposobności, aby ją na swoją wyzyskać korzyść, a zyskiem dzielił się z częścią radnych, którzy ślepo z nim trzymali, każde jego nadużycie bronili.

Wiedziała o tem Barbara, że prośbą ni łzami złagodzenia wyroku nie wymodli u wójta, wyszła więc z kancelarji gminnej na gościniec, stała chwilę, rozglądała się, jak gdyby szukać chciała człowieka, któryby jej dobrą pomógł radą. Ale gościniec był pusty, dzieciaki tylko małe bawiły się pod płotami domów.

W głowie jej szumiało, w oczach ćmiło, bo zkądże tu wziąć biednej kobiecinie aż 30 złr.?! A jednak starać się o pieniądze potrzeba, chcąc odwrócić grożące jej nieszczęście.

Rozpoczęła więc przykrą pielgrzymkę po chatach bogatszych gospodarzy z prośbą o pożyczenie pieniędzy. Jeden, drugi pożałował, ale pieniędzy dać nie chciał, bo i zkądże pewność, że wdowa pożyczkę zwróci, skoro wiedzieli, że jej interesa stoją źle, a rękami zarabia zaledwo tyle, że jej na głodne starczy życie. Kilku wyciągnęło reńskiego, ofiarując go jako jałmużnę strapionej kobiecie, nikt jednak większej sumy nie pożyczył.

Było już dobrze z południa, kiedy Barbara przeliczyła otrzymane pieniądze. Zebrała wszystkiego 5 złr. Westchnęła, otarła pot z czoła i stanęła na chwilę nie wiedząc do kogoby z prośbą udać się jeszcze. Czuła gorycz w ustach z głodu, umęczenie i ciężar bezmierny boleści, który ją przygniótł swym ogromem bez nadziei ratunku.

W takim stanie spotkał ją Białaski wracając z plebanji, gdzie odnosił robotę. W kilku słowach dowiedział się o zmartwieniu wdowy, a z twarzy jej wyczytał, że bardzo zależy jej

na tem, aby zaciągnąć pożyczkę, i bardzo przygnębia ją to, że jej otrzymać straciła nadzieję.

Nie namyślając się długo, wyjął z kieszeni otrzymane za robotę pieniądze, przeliczył i schował, uśmiechając się ze swej krótkiej pamięci. Przed chwilą dopiero liczył przecież tych kilka złotych!... Poprosił więc matkę Barbarę, aby poszła z nim do domu, wypróżnił szufladę, kufer i wręczył jej całą potrzebną sumę.

— Niechże cię błogosławi nasza Polska Królowa, poczciwy panie; — dziękowała wdowa. — Uczyniłeś nademną miłosierdzie wielkie, za które całe życie dziękować ci muszę. Ale powiedz mi dlaczego nieboisz się pożyczać biednym, ty człowiek obcy, skoro tutejsi gospodarze zacisnęli przedemną dłoń swoją bojaźliwie?...

— Biedny rozumie biednego i dlatego wesprze go chętnie, jeżeli może. Kto sam nie cierpiał, ten goryczy cierpienia nie pojmuje. Nie dziwujcie się bogaczom.

— Nie myślcie jednak, jak nasi bogacze, że te pieniądze daliście mi na przepadłe. Corychlej sprzedam prosiaka i połowę długu wam zwrócę, drugą połowę oddam powoli, ale oddam i dziękować i modlić się za was będę. I dlaczego nie miałabym wdzięczną być swemu dobroczyńcy.

I poczęła Barbara wynurzać mu swe uczucia szczęścia i zapewnienia wdzięczności, jakiemi przepełnione było jej serce. Ale Białaski nie czuł się godnym tylu pochwał i dziękczynień za niewielką, zdaniem jego, usługę, więc przerwał jej potok wymowy uwagą, że należy coprędzej pójść zapłacić karę, bo każdy dług, to niby obuch, co wisi człowiekowi nad karkiem. Zapłacisz go wczas, toś ocalony, opóźnisz się, to cię uderzy.

Wdowa posłuchała krawca, poszła do kancelarji gminnej i przed zdumionym wójtem wyliczyła 30 złr.

— To nie wszystko — rzekł naczelnik gminy — za chowanie prosiaka we dworze należy się 1 złr., a za fatygę komisyi i pisarzowi 2 złr.

Z zanadrza wydobyła Barbara wyżebraną piątkę, i odliczyła 3 złr., żądając poświadczenia za wypłaconą karę. Otrzymawszy kwit poszła z nim do dworu, a za nią wnet podążył wójt z pieniędzmi, rachując, że jak zwykle co najmniej połowę wypłaci mu ekonom za tak gładkie i szybkie ściągnięcie kary. Omylił się jednak tym razem.

— Na co mi tych pieniędzy — krzyczał p. Słomka, rzuciwszy pieniądze w kąt biórka w gniewie — kto kazał wam przynosić mi pieniądze, czy nie mówiłem, aby mi tu Józkę sprowadzić, choćby nawet gwałtem?

— Pan oszacował szkodę na 30 złr, więc tyle ściągnąłem, a zażyłem przy tem nie mało kłopotu.

— Ależ barania głowo, ja ci dlatego podałem wysokość sumy, abyś według niej wiedział na ile dni masz zasądzić Józkę, rozumiesz?

— Czort wiedział, że stara baba po garnkach ukryte ma pieniądze — splunął wójt.

— Czort mógł nie wiedzieć, ale wy powinniście wiedzieć, że mi tu Józki koniecznie potrzeba. Teraz żniwa, roboty dużo — dodał usprawiedliwiając się niby.

— Albo to dziewek mało we wsi, co patrzą roboty? Z tem to u nas najmniejszy kłopot.

Ekonom widział, że dziś nie dogada się z naczelnikiem, zgrzytnął zębami i do drugiego wyszedł pokoju.

Wójt obrócił kilka razy kapelusz w ręce, przypatrzył mu się i wyszedł rozgniewany, że nie podzielił się z nim dziś ekonom osiągniętym zyskiem, albo raczej wyzyskiem.

— Poczkaj — mruczał pod nosem idąc ku wsi — będę ja ci ściągał na drugi raz kary.... Niedoczekanie twoje; abyś za szkodę, co 3 złr, nie warta, brał aż 30! I jeszcześ mię baranią nazwał głową... dam ci barana, znajdę ja haczyk na ciebie... oj będziesz wtenczas beczał, jak baran, ale nic ci nie pomoże, musisz mi się grubo opłacić wtenczas, barani ogonie.

XI. Czworaka miłość.

— Kocham cię nad życie, dziewczyno, Nad ciebie nie ma świat nic dla mnie droższego, nic lepszego, nic piękniejszego. Kiedy myśle o tobie, czuję się szczęśliwym, gdy cię widzę jestem spokojny i niczego nie pragnę, nic mi nie brakuje. Dlaczego jednak wzajemnego uczucia wzbudzić w tobie nie mogę, nie rozumiem. Czybyś wątpiła w prawdziwość mej miłości,... bo i dlaczegóż wahasz się odpowiedzieć, co myślisz, co czujesz?

Tak mówił Bronisław Białaski do Józki, a z twarzy jego biła taka szczerość i prostota, że o prawdzie słów jego wątpić nie można było.

— Czyż mogę wszystko mówić? Tyle myśli, ach tyle myśli ciśnie się naraz do głowy — skromnie z pewnem zakłopotaniem odpowiedziała Józka.

— Mów, mów wszystko. Ja otwieram przed tobą me serce, jak kwiat otwiera swój barwny kielich ku słońcu. Otwórz i ty swe serce, niech jego wonią cieszę się, zapachem upoję, i uweselę swą duszę barwami jego. Powiedz to słowo, to jedno miłości słowo, które mi szczęście zapewni na ziemi.

— Jedno słowo szczęścia nie daje, rozważ to dobrze, Bronku. Jam chłopka, wychowana na wsi, a ty w dużem wyrosłeś mieście. Czy ja ci dobrą potrafię być żoną, czy cię zrozumiem, czy zadowolę?...

— Zrozumiesz i uszczęśliwisz, byleś chciała tylko.

— Jam biedna i sierota, czy nie pożałujesz tego, żeś mógł wziąć bogatą żonę, uczoną, z pańskiej familji...

— Wszystko to wiem i o wszystkiem już myślałem. Jak ów człowiek, który z pośród wielu kwiatów ogrodu skromny wybiera fijołek, tak i ja wolę cię biedną, zaniedbaną, niż inną bogatą i świetną. Jestem ubogi i ubogie muszę prowadzić życie. Nie przeceniaj mię i nie myśl, że tak daleko odrosłem od ciebie.

— A jednak ludzie inaczej cię szacują i mówią, że pańskiej potrzebujesz żony. Wyrzucają mi nawet, że cię bałamucę, że gdybym nawet twoją została żoną, nicby mię dobrego nie czekało z ciebie.

— Nie słuchaj ludzkiej gadaniny. Prawda, że ludzkie języki, zatruć mogą życie nie jednemu, ale ludzkie pochwały nie uszczęśliwiły nikogo. Ot i mię chwalono we Lwowie a przymierałem z głodu, i gdyby nie był się znalazł człowiek, który zamiast czczego słowa podał mi pomocną rękę, nędzę cierpiałbym do dzisiaj.

— A jednak jakże żyć bez ludzi, jak uniknąć bystrego ich wzroku i ostrego języka?

— Bardzo łatwo.... Żyć będziem cicho, spokojnie, ograniczeni na cztery ściany domu, oddani domowej pracy. Jeżeli sami wystarczym sobie, nie potrzebujemy szukać szczęścia w towarzystwie ludzi.

— Na wszystko masz odpowiedź, wszystko tak ładnie w ustach twych wygląda. W życiu jednak nie tak gładko składają się nasze sprawy. Ja już dziś czuję, że ta z ludzką niechęcią walka, to nad moje siły. Ich wzrok, mina, zachowanie się, przybijają mnie, zanim wyrzekli słowo.

— Porzuć niepotrzebną bojaźń i lękliwość. Wsparta na mojem ramieniu, przejdziesz spokojnie przez życie. Zapomnisz o przeszłych bólach, teraźniejszych smutnych przeczuciach, a we wspólnej ze mną pracy znajdziesz szczęście i zadowolenie. Bóg i czyste sumienie, oto nasze wskazówki; o ludzką złośliwość czy niechęć niedbajmy.

Józka westchnęła, zarzutów nie robiła więcej, ale zdecydowaną jeszcze nie była.

— A więc tylko my sami o swojej stanowimy przyszłości — ciągnął dalej Bronek. — W twojem ręku dziewczyno moc i potęga uczynić ją szczęśliwą. Wyciągnij żwawo dłoń swoją i posyp ją kwiatami, lub zeschłym zwiędłym liściem.

— Ach nie mów tak, nie mów — prosiła dziewczyna.

— Józiu, pierś twa faluje, oko łzą zachodzi a z różanych ust twoich czytam, że ci obojętną nie jest moja i twoja przyszłość wiem, że mię kochasz. Powiedz jedno słowo, oświadcz swoje przyzwolenie a wszelka niepewność ustąpi jak pierzcha ciemność przed wschodzącem słońcem. Czyśmy jeszcze nie zasłużyli na pogodę życia?

— Nie nalegaj — ręce składając prosiła Józka — daj kilka dni do namysłu, niech się pomodlę, niech poradzę matki.

— Ale nie odbierasz mi nadziei.

— Przenigdy.



TYP KRAKOWIANKI.

Bartosz solarz radził Barbarze wydać co-prędzej córkę za krawca, i w tem sposób uwolnić się od rozmaitych przykrości, jakie ją spotykały ze strony Brożyny, ekonoma i żydów. Widocznem bowiem było, że nie zaniechali oni żadnej sposobności, aby dokuczyć wdowie, i oni to rozsiewali pomiędzy ludźmi rozmaite pogłoski o Białaskim i o zamierzonem przez niego małżeństwie.

Ale wdowa, pomna gróźb zięcia, obawiała się jeszcze gorszych następstw, gdyby wbrew jego woli na małżeństwo zezwoliła. Radziła czekać, aż Bóg majsterka oświeci a złość i za-

wziętość serca jego odmieni. Na stare lata pragnęła spokoju i niechciałaby, aby we familji panowała niechęć zawiść i wieczna kłótnia.

Tak więc przez bojaźliwość matki, odwlekło się małżeństwo Józki na czas nie ograniczony.

* * *

— Jak cię kocham, stary przyjacielu, tyle jednak uczynić dla ciebie nie mogę, bo żądasz za dużo. Dwór, ogród i 100 morgów pola trzy razy przenoszą wartość twoich pieniędzy, które mi pożyczyłeś. Odstąpię ci pole i ekonomówkę, a i to doprawdy jest za dużo.

Tak mówił Srul do Słomki. Siedzieli obaj w alkierzu, drzwi zamknęli za sobą na trzy spusty i wartę postawili przed niemi w osobie małego bachora, aby ktoś nie podszedł i nie podsłuchiwał. Ostrożność taką zachowywali zawsze ilekroć odbywali ze sobą narady.

Teraz ukończyli ze sobą rachunki i umawiali się, w jaki sposób mieli się podzielić majątkiem dziedzica, który z powodu skargi Srula wystawiony miał być wkrótce na licytację. Spólnicy ułożyli się tak, że Srul nabędzie wieś na swoje imię, a potem dopiero podzieli się z przyjacielem. Jak? o tem właśnie mówili teraz.

— Za dużo powiadasz, za moje 10,000, które ci pożyczyłem i to w takiej chwili, gdyś nie miał pieniędzy, a dziedzicowi dać je było trzeba?

— Tyś nie dziecko, Słomka. Rachuj, że za 10,000 możesz kupić zaledwo 100 morgów pola, skoro ci ekonomówkę jeszcze odstępuję, wartującą kilka tysięcy, czynię to czynię z przyjaźni dla ciebie.

— A ja także ze względu przyjaźni ekonomówki wziąć nie mogę. Stoi ona między pałacem a folwarkiem; skoro ty zamieszkasz w pałacu, ciągła ztąd dla ciebie niewygoda być odciętym od gospodarki. Mogą powstać ztąd kwasy, nieporozumienia, a ja tego nie chcę, bo mi zgoda z tobą, miłość i przyjaźń milszą nad wszystko. Ekonomówkę rozszerzyłem i odrestaurowałem z elegancją, że lepsza dziś od pałacu, a jednak bez żalu odstąpię ci ją. Ty będziesz miał pod ręką folwark, a ja moje pole obok pałacu.

— Park z ogrodem wynosi przeszło 50 morgów...

— Bierz więc park, zostaw mi tylko ze dwa morgi wokoło pałacu i oficyny.

— I to dużo, doprawdy za dużo, — krzywił się żyd...

— Znowu za dużo, a moja praca lat kilkunastu niczem tobie? Kto oplątał dziedzica w twoje długi, kto poddawał mu marnotrawne myśli, a potem łatwy kredyt nasuwał? Tyle nocy nieprzespanych i tyle zabiegów, intryg i szpekulacji, aby tylko zwierzynę w twoje napędzić sidła. Przebiegłością węża i pokorą psa dokonałem tego, czegoś chciał, a dziś powiadasz, że żądam za dużo? Cóżbyś ty bezemnie uczynił? Jedno słowo z ust moich, a cały twój plan runąłby w niwecz. I karczmę utraciłbyś, i wysokie procenta, a setki znalazłbym takich, coby w potrzebie pożyczali pieniądze. Ba, czyż zresztą okazałaby się potrzeba, gdybym jej nie stworzył? A tamten rok ile mię pracy kosztował, w świeżej zapewne masz pamięci. Chciałeś przyśpieszyć koniecznie ruinę, otóż stało się tak. Zboże w polu pogniło, lub wysypało się, bom czekał na pogodę lub na lepszą źrałość; kartofle nadgniły, bo nie było pieniędzy na robotnika. Tymczasem dziedzic zapewniony z wiosną o bogatych zbiorach, podróżował po świecie, bawił się po rozmaitych kąpielowych miejscach i stracił pieniędzy tyle, że dorżnął się na śmierć. I za to wszystko...

— Dzielę się z tobą, jak z bratem. Rodzonemu bratu ani ojcu nawet nie dałbym nic, prócz tego co mu się należy. A ja ekonomówkę odstępuję...

— Widzę, że z tobą nie ma zgody. Zrywam więc naszą przyjaźń choć z bólem serca, a jak wiernym byłem ci spólnikiem, tak zawziętym stanę przeciwnikiem. Znajdę ja jeszcze sposoby do podstawienia ci nogi.

Słomka zamierzał wyjść, a z groźnej miny jego wnosić można było, że słów groźby dotrzyma. Szybko podbiegł Srul ku niemu, uchwycił za rękę i całując w ramię, rzekł dobrodusznie:

— Stój warjacie, czy to tak rozstają się ze sobą przyjaciele. Przecież można się ze sobą potargować, zanim się interes na czysto ułoży.

— Ja już ostatnie powiedziałem słowo, dalej ustąpić nie mogę.

— Więc weźmij sobie pałac, kiedyś taki uparty. Nie chcę, abyś gadał, mój kochany, że Srul na wdzięczności nie rozumie się, a w przyjaźni tylko swej patrzy korzyści. I jam ci dobry człowiek, wierny przyjaciel i wysoko sobie twoję przyjaźń cenię. Może cię w ten przekonam, że cię prawdziwie kocham.

Po niedługiej chwili przyjaciele rozstali się. Za wychodzącym zamknął Srul drzwi, przekrzywił szyderczo mięsistą twarz swoją i zamruczał po cichu:

— Prędzej zobaczysz ucho swoje, nim ja ci pałac odstąpię lub pole obok niego. Jeszcze mi ciebie potrzeba, ciesz się więc tymczasem, głupi Polaku. Ale potem... kiedy karczmę zamienię na pałac, dostaniesz 100 morgów pola, ale pod lasem, nieboże.

* * *

Pan Artur Grużewski, dziedzic Ustronia, szerokiemi krokami przechadzał się po swym gabinecie. Był smutny i przygnębiony. Na sofce siedziała jego małżonka, obok biórka stał ekonom, a na biórku leżały porozrzucane papiery, książki gospodarskie, rachunki jakieś...

— Jestem zgubiony... ruina... nie ma wyjścia — mruczał do siebie półgłosem p. Artur.

— Może jeszcze jaki ratunek się znajdzie, pomyślno panie Słomka — mówiła dziedziczka.

— Mam jeszcze jeden w projekcie i myślę, że pomoże z pewnością.

— Cóż takiego? — przystając pytał dziedzic.

— Powiesić żyda, albo utopić bestję, otruć lub zastrzelić, jak psa.

— Głupstwa asan prawisz. Ratować się zbrodnią nie chcę, i tobie myśleć o tem zakazuję. To podłość.

— Z miłości dla państwa, człowiek dopuściłby się każdej podłości, aby was tylko ratować. Proszę mi się nie dziwić, ale starego, przywiązanego sługę serce musi boleć, gdy widzi, jak żyd postępuje po łotrosku. Wykupił wszelkie weksle od innych wierzycieli i jak kot na zdobycz, czatował na złe lata. Kiedy już drugi rok urodzaje chybiły, występuje z procesem, grozi licytacją... on, ten żebrak, co na pańskiej karczmie porósł w pierze.

— Byłoby do tego nie przyszło, gdybyś mnie nie był zapewnił roku zeszłego, że żniwa obfite będą, jak nigdy.

— Wielmożny pan widział na wiosnę, co za śliczne było zboże, ale posuchy długo trwały, do lipca kropla nie spadła deszczu. wszystko dojrzało nagle, niewiadomo było co pierw zbierać. Właśnie kiedyśmy siec zaczęli, puścił się deszcz, lał dzień po dniu cały miesiąc i ot, nieszczęście nie przewidziane. A w tym roku, wszędzie także nędza.

— Czemuś jednak nie pisał o tem, dla czego pożyczane posyłałeś mi pieniądze.

— Czyż miałem złemi wieściami martwić pana dobrodzieja podczas kuracji? Otrzymując wezwanie przysłania pieniędzy, brałem je od żyda i posyłałem. Ile ja miałem kłopotu. Ratowanie zdrowia jest najpierwszą rzeczą... żaden wydatek na kurację za małym nie jest. Dla wielmożnych państwa krwi serdecznejbym wytoczył, nieba przychylił, a o pieniądze miałem się nie postarać?

— Dlaczegoż teraz nie postarasz się o pieniądze — pytała pani. — Gdyby ten rok zły przetrzymać, potem siedzielibyśmy w domu, a na opłacanie procentów wystarczyłoby nam zawsze.

— Nędznej stówki nikt nie pożyczy teraz, bo wieść o licytacji gruchnęła już po okolicy. Zresztą mówiłem ze żydem; o procentach ani słyszeć nie chce, żąda kapitału. A tu i bank nie zaspokojony — okropność.

— Więc cóż robić, cóż radzisz robić?

— Mojem zdaniem najlepiej sprzedać wieś z wolnej ręki. W ten sposób można ocalić parę tysięcy, inwentarz i sprzęt gospodarski. Na licytaji zadowolą się otrzymawszy wysokość sumy długów, a wtenczas trzeba będzie piechotą wyjść z pałacu. Gdyby się kupiec nie trafił, namówiłbym Srula do kupna, w każdym razie lepsza z nim ugoda, bo go oszukać trochę można, aniżeli licytacja.

— Co, Srulowi miałbym majątek sprzedawać? — krzyknął p. Artur — sprocesuję łotra do nitki, a nie ustąpię. Bo, gdzież pójdę zresztą... — dodał spokojniej.

— O to najmniejsza. Albożto pan dobrodziej mało ma znajomych we Lwowie? Piśnie tylko słówko któremu, a posadę tłustą w banku dostanie. I mieszkać będzie w stolicy, i nie będzie troskał się o deszcz, o pogodę, o robotnika, o płacenie rat itp., utrapienia, jakich codzień dosyć na wsi.

— Wiesz Arturze, Słomka ma pełną kieszeń nie złych pomysłów — rzekła dziedziczka do męża. Doprawdy, ja sama o tem myślałam, aby przenieść się na stałe do miasta i żyć tam z pensji spokojnie.

— To życie bez troski w mieście, to rozkosz prawdziwa. I gdyby tam i za mną pan dobrodziej przemówił słowo do kogo... może i ja dostałbym gdzieś jakie zajęcie. Najlepsze lata strawiłem na wiernej służbie u państwa, oddany im z całą miłością i zupełnem poświęceniem, a na starość kto mnie teraz przyjmie?

— No, nie turbuj się stary, niechno ja pierw swoje interesa ułożę, wtenczas pomyślę i o tobie.

— Tak, tak, nie zapomnimy twej wiernej służby — zapewniła ekonoma pani.

Słomka wyszedł ucieszony z gabinetu dziedzica; — wszak wszystkie projekta jego padły na dobrą rolę i przyjęły się.

Odwróciwszy się, spojrzał na pałac, kiwnął głową, uśmiechnął się i rzekł:

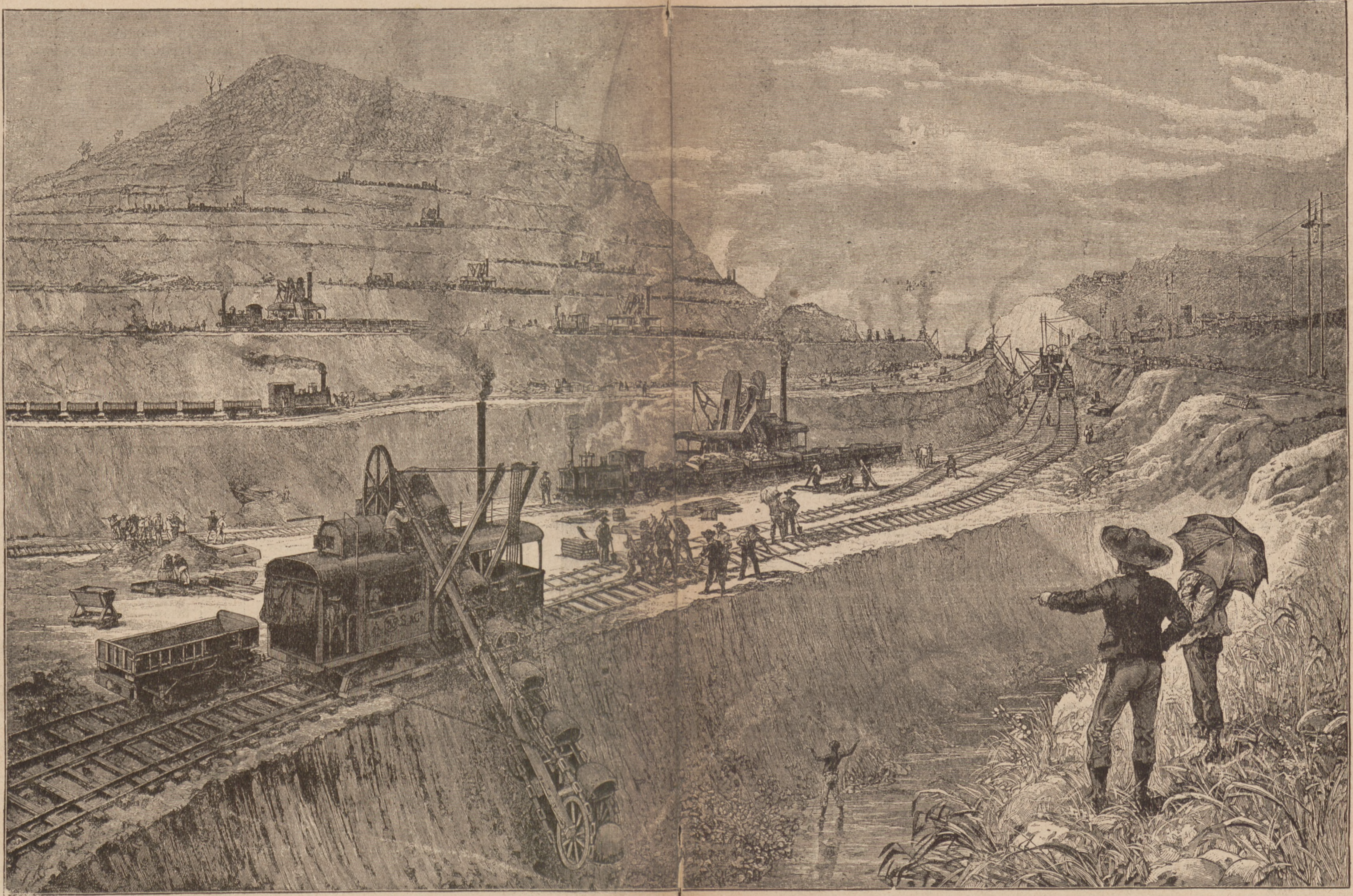
— Głupi byłbym wąchać miejskie, zgniłe powietrze, kiedy mogę wygodnie rozpierać się w tym pałacu, w wonnem otoczeniu ogrodu, pól i lasów.

* * *

O grożącej licytacji panu Grużewskiemu dowiedział się Bartosz w miasteczku. Przenikliwy jego umysł wnet odgadł jakie grozi mu niebezpieczeństwo i kto prawdopodobnie wejdzie w posiadanie tak ładnego majątku.

Zadumał się wracając do domu — rozglądnął po szerokich łanach, które przypierały do drogi, a ciągnęły się daleko, jak okiem sięgnął.

— O polska moja ziemio — westchnął — piękną jesteś jak urodziwa dziewica, dobrą, jak matka, kocham cię więc miłością wierną i gorącą. Z wiosną cieszę się z tobą, gdy uśmiechasz się i stroisz w zieleń i kwiaty; latem i jesienią wesoły zbieram złote kłosy i rumiane owoce, które hojną sypiesz mi ręką, a w zimie smucę się z tobą, boś skrzepła od mrozu i w biały płaszcz śniegu otuliła swe oblicze. Żywisz mię do syta, ubierasz ciepło, i ogrzewasz dostatecznie. Ty mię kochasz, więc i ja cię



Prace nad kanałem panamskim w Ameryce. (Zobacz objaśnienia rycin na str. 3[illegible]7).

kocham, ja i ty wiecznemi ze sobą śluby jesteśmy połączeni przez Boga.

I dumny jestem z tego, że jestem Polakiem, dumny z ciebie, żywicielko moja, polska ziemico!

Masz liczne miasta, wsi krocie, lud dzielny i dorodny.

Pachnące ogrody otaczają twe domy; soczyste łąki, jak drogie szmaragdy, przetykają pola; szumiące lasy ożywczą, żywiczną woń wysyłają na równiny. Wody rzek ubrały cię w srebrzyste wstęgi, gorące słońce utkało ci jasną szatę ze złocistych blasków, tęskne wiatry chłodzą cię wśród spieki, a góry stanęły na czatach u granicy twojej.

I piękną jesteś i bogatą moja polska ziemio. Niczego ci nie brak i wszystko masz w obfitości.

Wijesz wieńce ze zboża, i ubierasz złotym owocem drzew mnóstwa; karmisz na swych stepach koni stada, wołów tabuny, ugory i miedze przebiegają krocie mlekodajnych krów, a miljony owiec rozbiegło się po górach za pachnącą trawą. Pod ziemią ukryłaś nieprzebrane skarby soli, metalów, węgla, co ciepło daje, kamienia i wapna, co domy buduje, tłustości, co światłością płonie.

I wychowałaś sobie lud piękny i zdrowy i mocny i rozumny, aby wszystko składało się w tobie w harmonijną całość. Dziewczętom dałaś białe lica, modre oczy i dobre serce; młodzieńcom silne ramiona i namiętną duszę; męże twoi postawy królewskiej; a starcy pogodni i poważni niby święci z obrazów.

Czemu jednak nie wszystkie polskie syny równo cię kochają? Czemu cię nie zdobią w drzewa, nie chronią od wylewów, nie ulepszają postępową uprawą... czemu, ach czemu lekomyślnie w obce sprzedają ręce. Tyś sobie wychowała Polaków, a oni oddają cię w ręce żydów, Niemców... O polska ziemio, matko moja, popsuły się syny twoje...

Dojeżdzając do rodzinnej wioski wyjechał na niewielki pagórek, na którym pobożna ręka umieściła obraz M. Boskiej. Na wysokim słupie przybity był u góry obraz, nad nim daszek podtrzymany przez ścianki oparte na podstawce: u dołu niekształtnemi literami wypisane imię fundatora i rok fundacji.

Bartosz przystanął, zeskoczył lekko z wozu i ukląkł pod figurą. Zmówił jeden Anioł Pański, i drugi i trzeci raz, podniósł oczy do góry i wpatrywał się w twarz Bogarodzicy.

— O Najświętsza Panienko — rzekł po chwili — przecież ty nosisz koronę na głowie, dlatego, żeś królową tego polskiego kraju. Czy pozwolisz, aby szczuplała chwała twoja, czy dopuścisz, by kurczyła się ziemia tobie oddana, czy to twoi poddani żydzi i protestanci?

Czy tak krok za krokiem mają nas wyrzucać obcy z odwiecznych naszych siedzib? Czy już Bóg wyrzekł słowo potępienia, słowo przekleństwa nad naszym narodem? czy już nie ma dla nas ratunku ani zbawienia? a ziemia polska ma przestać być królestwem twojem?

O Maryjo! w twoich oczach widzę tyle dobroci, że budzi się we mnie ufność w lepszą przyszłość. Tak, jak przyciskasz Syna do swego łona, tak przytul i nas do siebie, bośmy dzieci twoje. A będzie nam dobrze znowu przy twojem sercu i bezpiecznie chwalić cię będziem, szczęśliwie żyjąc na ziemi naszej...

Objął figurę rękami i ucałował drzewo. Zdawało mu się, że wszystko spełni się, o co prosił Polski Królowę, dziękował jej więc za to w pokorze.

— Ba — dodał po chwili — tyś rzekła raz do uciśnionych: czyńcie, cokolwiek wam Syn rozkaże, a Syn twój powiada: czuwajcie i pracujcie. Poleciwszy się więc twej opiece, nie założyć nam rąk opieszale i czekać, aż się samo dobrze zrobi, ale czuwać, myśleć, pracować, bronić się przed grożącem nieszczęściem, a wtenczas twoja opieka uczciwej dopomoże pracy. Niech się tak stanie. Amen.

To powiedziawszy uderzył się w piersi, przeżegnał, podjął leżącą na ziemi czapkę i powstawszy z weselszą miną powrócił do wozu.

Konie podniosły łby do góry i parskając i wymachując ogonami raźnie biegły do domu. Solarz trzymając lejce, prawą wymachiwał batogiem, jakby w takt myślom swoim, co cisnęły mu się tłumnie do głowy. Praktyczna jego natura nie upadała pod ciężarem grożącego wsi nieszczęścia, ale szukała sposobów jakiemiby je zażegnać można.

Zanim pierwsze minął chaty, rzekł półgłosem:

— Tak będzie najlepiej, próbójmy, może się uda.

I zamiast ku domowi, skierował wprost ku chacie Zielińskiego, ku wielkiemu zdziwieniu a zapewne niezadowoleniu koni, nieprzyzwyczajonych do nudnych wystawań w takiej bliskości od swej stajni.

Zaledwo próg przestąpił:

— Mam ci wiele ważnych rzeczy do powiedzenia — zagadnął gospodarza i usiadł na małym trójnożnym stołku Brożyny, który przed chwilą wyszedł na obiad do siebie. — Sprzedają majątek naszego dziedzica przez licytację, to jedno złe, kupią go żydzi pewno lub Srul, oto drugie złe. Dziś w mieście wypytywali mię o szczegóły, jakość gleby, ilość łąk itp. rzeczy. Złemu potrzeba jednak zapobiedz. Czytałem nieraz w gazecie, że w zachodniej Galicji kupują chłopi pańskie grunta i dzielą je między siebie. Podobnie możnaby zrobić i u nas, gdyż wieś duża, a niejeden z gospodarzy ma złożonych parę setek, które przechowuje w ukryciu na złe czasy. Nie jeden w dwójnasób może swoje pole rozszerzyć, a takie duże gospodarstwa, to fundament wioski.

— Bardzo dobrze mówisz. Lud powinien kupować ziemię i ratować ją przed rękami żydów.

— Prawda, że powinien, ale chłop nie poczuwa się jeszcze do pełnienia obowiązku patryjotycznego, choć to z jego oczywistym jest zyskiem. Gdyby mu sam dziedzic pole sprzedać chciał, trzebaby go popychać, namawiać, cóż dopiero w tym wypadku, gdy z żydami ujadać się przyjdzie.

— Należy więc oświecić go, zachęcić, a któż to lepiej potrafi, jak ty, mój przyjacielu.

— Otóż właśnie mylisz się; ja nie zrobię tu nic. Chłop nie posłucha chłopa, choćby mu najlepiej radził, mieszczanin mieszczanina, a pan pana. To już taka nasza nieszczęśliwa polska natura, że raczej żyda, lub obcokrajowca posłuchamy, choć radzi źle, niż równego sobie, gdy radzi dobrze. Najlepszy przykład masz na naszej rzeczułce. Obok kościelnej płynąc drogi, zalewała ją podczas słoty, że ani przejść, ani dojechać do kościoła. Mówiłem: ludzie, zabierzmy się do roboty, pogłębmy i rozszerzmy koryto, wysypmy wał, wywieźmy drogę. Wyśmieli mię. Byli za dumni, aby mi przyznać słuszność. Gdy jednak namówiłem cię, abyś ty im to poradził, wziąłeś się tak zręcznie do dzieła, że chłopi przystali zaraz. Od mieszczana nie było im wstyd przyjąć radę, bo on z wielkiego miasta, widział tam różne mądre rzeczy, powiadali. I teraz moje słowa popsułyby tylko sprawę. Trzeba więc, abyś ty namawiał chłopów, radził, pouczał, a ja pozostanę w tyle. Dopomoże ci w tem Białaski. bo i on styczności z ludem ma wiele. Tak więc wspólnemi siłami rozpoczniecie dzieło dobre a potem zobaczymy, co czynić wypadnie.

— Niechaj i tak będzie. Do dobrego dzieła chętnie przyłożę rękę.

— Ale musisz wziąć się do czynu z zapałem. Pomnij na klęskę, jaka nam grozi. Gdy Srul kupi dwór, co jest prawdopodobnem, podzieli go po śmierci między trzech synów, a ci znowu między swoje dzieci. W trzeciem pokoleniu będziem już mieli około 10 dużych gospodarstw w rękach żydów. Polska ziemia karmić będzie wrogie jej plemię, a chłopi drobiąc swoje pola nie wyżyją z nich, więc do innych krajów pójdą, gdzie stracą narodowość polską. Nie chcę myśleć o tem, jaka przyszłość czeka przyszłe pokolenia, ale myślę o tem, aby wnuki nie przeklinali pamięci naszej i nie wytykali słusznie lekkomyślności ojców, brak rozsądku, poświęcenia, tradycji i miłości ojczystego zagona. Jeżeli nam powodzi się dobrze, jestto w połowie zasługą ojców naszych; niepowodzenie, w połowie ich także winą. Bądźmy dobrymi ojcami, aby dzieciom naszym wiodło się dobrze na polskiej ziemi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Nie fortunie, ale cnocie ufać trzeba.

Nie wierz fortunie, co siedzisz wysoko,
Miej na poślednie koła pilne oko;
Bo to niestała pani z przyrodzenia,
Często więc rada sprawy swe odmienia.

Nie dufaj w złoto i w żadne pokłady,
Każdej godziny obawiaj się zdrady,
Fortuna, co da, to zasię wziąć może.
A u niej żadna dawność nie pomoże.

A ci, co z tobą teraz przestawają,
Twej się fortunie, nie tobie kłaniają;
Skoro ta zniknie, tył każdy podawa,
Jako cień, kiedy słońca mu nie stawa.

Lecz jako sama oczy zasłoniła,
Tak swem pochlebstwem ludzi pobłaźniła,
Że drugi wyżej nosa gębę nosi,
A wszystko insze oczyma przenosi.

Ty pomnij, że twój skarb u szczęścia w mocy
A tak się staraj o takiej pomocy,
Aby wżdy z tobą twego co zostało,
Jeśli zaś będzie szczęście swego chciało.

Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi,
Tegoć nie wydrze nieprzyjaciel srogi,
Nie spali ogień, nie zabierze woda;
Nad wszystkiem inszem panuje przygoda.

Powyżej przytoczony wiersz napisał Jan Kochanowski, zwany także Janem z Czarnolasu, od wsi, w której przemieszkiwał; jest on największym poetą polskim przed Adamem Mickiewiczem, autorem „Pana Tadeusza.“ Żył w XVI wieku w czasach, w których Polska stała na szczycie chwały i potęgi, z tego powodu, „złotymi“ nazwanych. Napisał wiele pięknych wierszy. Niedawno postawiono mu pomnik w Poznaniu.

Grzechy Anglii względem ludu Irlandzkiego.

(Ciąg dalszy.)

III.

Król Karól I został ścięty, a rządy Anglii objął jako dyktator, Cromwell. Dotąd prześladowano i męczono Irlandczyków dla tego, że niby to przeciw władzy królewskiej się buntowali, teraz prześladowano ich i męczono jeszcze więcej dla tego, ponieważ rządów Cromwella uznać nie chcieli. Zdawało się, że pomysł angielskich polityków, mający na celu uspokojenie Irlandyi przez wytępienie Irlandczyków, w istocie się urzeczywistni. Do prześladowań bowiem ze strony Anglików przyłączyła się jeszcze zaraza, którą gdzieindziej najstraszniejszą klęską by nazwano; dla Irlandyi była ona łagodną plagą wobec plag, jakie na nich od Anglików spadały. Z całej katolickiej ludności irlandzkiej pozostało zaledwie tyle, ile do zaludnienia spustoszałej prowincyi Counaught starczyło, dokąd ją Cromwell jak stado bydła zapędzić kazał. Równocześnie wydał rozkaz, aby wszystkich Irlandczyków, którychby w innej części kraju napotkano, zabijano bez względu na to, czy toby mężczyzni, kobiety, czy dzieci były. Tak uchwalił parlament angielski, rozkazując «wszystko zabijać, ścinać, niszczyć, plądrować, palić, marnować, jak to Izraelici z Kanaanejczykami uczynili.»

Jeden przykład postępowania Cromwella wystarczy, aby mieć o tej srogości wyobrażenie. Miasto Drogheda broniło się bardzo dzielnie, a poddało się Cromwellowi dopiero wtedy, gdy już wszystka żywność się wyczerpała i tylko pod warunkiem, że życie i majątek oblężonych po poddaniu nietknięte zostaną. Cromwell przyrzekł to wszystko. Oblężeni zaufali temu przyrzeczeniu i otworzyli bramy. I co się stało? Cromwell nakazał przez pięć dni mordować i plądrować; całą załogę wycięto, przeszło tysiąc ludzi zabito w kościele. Do parlamentu w Londynie napisał on o tem sprawozdanie, w którem pisze między innemi: «któż dokonał tak wielkiego dzieła? Nie dokonała go nasza własna siła, lecz ręka Boga!» Czyż może być coś wstrętniejszego nad tego człowieka, który zbrodnie, o pomstę do nieba wołające, wielkiem dziełem z łaski Boga dokonanem nazywa?

Pewien pisarz tak przedstawia ówczesne położenie Irlandczyków: «Któż zdoła opisać cierpienia, jakie Irlandya znosić musiała, gdy takie wojsko zagorzalców angielskich rozlało się po nieszczęśliwej wyspie? Kobiety i dzieci mordowano, księży palono na stosach, kościoły burzono, mężów i młodzieńców wsadzano na okręty, wywożono daleko na morze i tam topiono. Czterdzieści tysięcy Irlandczyków zapisało się do wojska francuzkiego i hiszpańskiego, aby ujść strasznego losu, jaki im groził na wyspie. Dwadzieścia tysięcy sprzedano jako niewolników do Indyi Zachodnich, między niemi tysiąc dziewcząt, które wydarto z objęć matek. «To się dzieje — tak mówił rząd — dla ich i publicznego dobra.» Kupcy angielscy bogacili się na tym handlu wziętemi do niewoli niewiastami i dziećmi. Co tylko mogło służyć do żywności, to niszczono, aby głód dokończył dzieło miecza. Kto z Irlandczyków chciał żyć, musiał uciekać do Counaught, którą im Anglicy pozostawili, ale nie całą, lecz najgorszą, najbiedniejszą jej część; o hrabstwie Clare, które do tej części należało, mówiono, że «nie ma w niej tyle drzewa, aby na niem módz człowieka powiesić, ani tyle wody, aby go utopić, ani tyle ziemi, by go pogrzebać.»

Wypędzano zaś dla tego, aby zyskać obszerne kawały gruntów dla spekulantów angielskich, którzy na wojnę pieniędzy pożyczyli i następnie dla tego, aby pieniędzy dostać na zapłacenie wojsku zaległego żołdu. Żołnierze mogli wybierać między pieniędzmi a ziemią; każdy brał, co chciał. Nawet tym, którzy w walce przeciw Anglikom udziału nie brali, zabrano majątki i to $^1/_3$ dotychczasowej posiadłości na zawsze, a $^2/_3$ nadano im w prowincyi Counaught. Także Anglików po irlandzkich miastach, którzy katolikami pozostali, wypędzono, a na ich miejsce osiedlono Anglików protestanckich, którzy wnet wszystkie prawa miejskie dla siebie zagarnęli. Cierpienia katolickich Irlandczyków pod władzą Cromwella można jedynie porównać z cierpieniami żydów przy zniszczeniu ich przez cesarza Tytusa. Jeszcze dziś wierzą i opowiadają Irlandczycy, że Cromwell wówczas wszystkich katolików w wieku między 16 i 60 rokiem, którzy mu w ręce wpadli, zabić, wszystkim chłopcom od 6 do 16 lat prawą rękę odciąć, a wszystkim kobietom piersi rozpalonem żelazem wypalić kazał. Do dziś jestto największem złorzeczeniem, gdy kto komu powie: «Niech cię spotka przekleństwo Cromwella.» Połowa ludu irlandzkiego wyginęła w tej okropnej wojnie, druga połowa żyła jak dzika w moczarach i jamach. Wilki przychodziły aż pod bramy Dublina, a polowanie na nie i na katolickich księży należało do tych zatrudnień, które najwięcej zysku przynosiły.

Chociaż Irlandczycy najdłużej za królestwo walczyli i przywiązanie do króla krwią swą stwierdzili, nie uznał tego król Karól II (1660 do 1685), na tron wstąpiwszy. Pierwszym czynem jego było zabranie blisko 8 milionów akrów ziemi irlandzkiej i nadanie jej awanturnikom angielskim, «bo tego wymagało dobro protestantyzmu i Anglii.» Wszystkie prawa

przeciw Irlandczykom różnemi czasy poustanawiane, pozostały nadal; katolickich posłów, którzy w r. 1662 na skargę do króla przybyli, Karol przed się wcale nie przypuścił. Co więcej zakazał nawet, aby urzędnicy żadnej piśmiennej prośby od nich nie przyjmowali. Rządowi angielskiemu kością było w gardle, że Irlandczycy mimo wszystkich prześladowań w wierze katolickiej wytrwali. Byłby sobie życzył, aby ta resztka ludności dała jakiśkolwiek powód do wyniszczenia jej zupełnie. Usiłowano więc przez agentów spowodować ich do powstania. Gdy się to jednak nie udało, chwycono się takiego niecnego sposobu. Uwięziono katolickiego prymasa, czyli pierwszego biskupa irlandzkiego, pomimo że był człowiekiem spokojnym, a nawet do pewnego stopnia rządowi uległym, i na mocy zeznania fałszywych świadków ścięto. Uciśnieni Irlandczycy, pozostali wobec tej zbrodni, choć serce im się krwawiło, spokojnymi i jak to pięknie powiedziano: «wiernymi milczącej łzie.»

Lepsza dola zaświtała dla tego ludu męczenników z wstąpieniem na tron brata Karolowego, Jakóba II w r. 1695. Wysłał on posła do Papieża i przyjął nuncyusza papieskiego; rozporządził dalej, aby w zamku królewskim mszę św. odprawiano i oddał prywatne kaplice do użytku katolików; przyzwolił na pobyt w kraju Jezuitów i innych zakonów. W Irlandyi zamianował oficerów katolików, a także sędziów katolików. Niestety Bóg nie dozwolił dłuższych rządów królowi Jakóbowi II. Wielu protestanckich oficerów, z armii angielskiej, przez niego oddalonych, przyjęło służbę w wojsku holenderskiem, do którego ich chętnie przyjął książę Oranii, teść i domniemany następca Jakóba. Gdy jednak Jakóbowi urodził się syn, widoki księcia Oranii na tron angielski się skończyły. Zachęcony przez swych oficerów i innych Anglików, którzy Jakóba nie lubili, postanowił książę Oranii, w gwałtowny sposób zasiąść na tronie angielskim. Król francuski Ludwik XIV, dowiedziawszy się o tem, natychmiast doniósł o zamiarach księcia królowi Jakubowi, który jednak nie uwierzył wiadomości. Tymczasem zamach wykonany został w istocie, dnia 5-go listopada 1688. Książę Oranii wylądował z wojskiem w Anglii. Wojsko angielskie, namówione przez oficerów, przeszło na stronę księcia Oranii i tak król Jakób z tronu ustąpić musiał.

IV.

Irlandczycy, umiejąc cenić dobrą wolę króla Jakóba względem nich, stanęli po jego stronie i chwyciwszy za broń, walczyli dwa lata z pomocą Francyi za jego sprawę. Niestety szczęście im nie sprzyjało, ulegli przemocy. W ugodzie przyrzekł rząd angielski wolność sumienia, ale gdy Irlandczycy broń złożyli, o dotrzymaniu przyrzeczenia nie myślał, a nawet wprost oświadczył, że prawa angielskie ani słowem o katolikach i jakichkolwiek prawach ich nie wspominają, a że dotąd katolicy jeszcze pod rządem angielskim żyją, dzieje się tym sposobem, że rząd patrzy przez palce. Wszystkie nikczemne rozporządzenia Cromwella dobyto z zapomnienia i poczęto na nowo stósować je do Irlandyi, Czterem tysiącom właścicieli irlandzkich zabrano ziemię. «Papistów» uznano niezdolnymi do urzędów, chyba, że przyjmą nową religią; księżom zakazano wstępu do kraju, a tych, którzy już w nim byli, spisano dokładnie i dozorowano na każdym kroku. Procesyi i pielgrzymek zakazano. Księdza, któryby się poważył udzielić ślubu osobie katolickiej z protestancką, czekała kara śmierci, a małżeństwa takie były nieważne. Każdy syn mógł, przestępując do nowej wiary, wydrzeć własnemu ojcu dziedzictwo. Każda żona katoliczka, przyjmująca nową wiarę, odłączała się tem samem od męża. Za doniesienie, gdzieby ksiądz lub nauczyciel jaki potajemnie działał, płacono od 10 do 50 funtów szterl. (1 funt mniej więcej 20 mrk.)

Wszystkie te przepisy miały na celu zupełne pognębienie i poniżenie całego narodu za to, że trwał wiernie w wierze ojców.

W r. 1733 założył rząd wiele szkół protestanckich, aby wychować młodzież podług swej myśli. Ale i to okazało się nie więcej skutecznem, jak zakładanie kościołów i kaplic dla odprawiania nabożeństwa protestanckiego.

Straszne położenie ludu irlandzkiego nie ruszało serc angielskich panów, którzy pobogaciwszy się irlandzką ziemią jak królowie panowali nad dzierżawcami, lub raczej lepiej powiedziawszy, jak panowie nad niewolnikami.

Prawa regulującego stósunek dzierzawcy do pana nie było, wola pana była jedynem prawem. Jeżeli się panu podobało, wypowiadał dzierżawę, a natenczas musiał się dzierżawca w ciągu 6 miesięcy wyprowadzić. Jeszcze w r. 1870 było z 662 tysięcy 526 dzierżawców, zostających na łasce panów.

Handel, przemysł, rzemiosło, nie istniały wówczas w Irlandyi dla Irlandczyków, lecz jedynie dla Anglików.

W połowie 17-go stulecia począł rozwijać się handel Irlandyi z Ameryką i koloniami angielskiemi. Na wniosek angielskich kupców wydano w r. 1663 nakaz, aby do kolonii angielskich przywozić produkta tylko z Anglii, na okrętach w Angli zbudowanych i angielską załogę mających. W r. 1696 dodano jeszcze rozporządzenie zakazujące przywożenia wszelkich towarów z kolonii angielskich wprost do Irlandyi. W tym samym czasie zakazano także wywozu bydła, mięsa, sera, masła, co stanowiło źródło zarobku dla Irlandyi, do Angli. Zapobiegliwi Irlandczycy wzięli się do chowu owiec, później także do wyrabiania płótna i sukien wełnianych. Ale i temu przeszkodziły wnet nowe przepisy celne rządu.

W takich warunkach każdy pojmie, że i najcierpliwszy naród, cierpliwośćby utracił; niezadowolenie wywoływało powstania. Tak podnieśli się w czasie wstąpienia na tron króla Jerzego III (1760—1820) chłopi irlandzcy, przyprowadzeni w skutek chciwości panów i drożyzny środków pożywnych, do ostatniej nędzy pod nazwą «białych chłopców» i poczęli nękać swych panów. Wojsko angielskie jednak wnet rozproszyło powstańców.

W dwa lata później zawiązali protestanci irlandzcy związek «dębowego serca» dla tego, iż ich pociągano do budowania dróg publicznych. Ich żądanie parlament natychmiast uwzględnił.

W r. 1773 utworzył się w Irlandyi związek «serca ze stali». Należeli do niego przeważnie dzierżawcy markiza Donegal, którzy dzierżawy opłacić nie mogli i dla tego wyrzuceni zostali z dzierżaw. I tych powstańcow pokonało wojsko angielskie.

Mimo prześladowania i poniżenia, graniczącego nieomal z niewolnictwem, pozostali Irlandczycy równie stali w wierze, jak w miłości do ziemi ojczystej.

Pokazało się to najwidoczniej podczas amerykańskiej wojny o niepodległość, gdy nad brzegami Irlandyi pokazały się okręty amerykańskie i gdy się napadu Francyi z tej strony obawiano. Ponieważ Anglia żadnych środków dla obrony brzegów Irlandyi nie poczyniła, przeto utworzyli sami Irlandczycy oddziały ochotników, liczące razem 50 tysięcy i postawili ich na obronę swej ziemi przed nieprzyjacielem. Ale rozdzielenie między katolikami i protestantami okazało się i w tym przypadku. Katolikom bowiem nie było wolno nosić broni i rząd angielski nie ufał im tak dalece, że ich do oddziałów ochotniczych przyjmować nie chciał. Znosili to spokojnie, dawali nawet pieniądze na utrzymanie wojska i oświadczali, że są przyjaciołmi i sprzymierzeńcami ochotników.

W skutek wojny amerykańskiej, poczęto jednak w Anglii myśleć nad ulżeniem doli irlandzkich katolików. W r. 1779 zniesiono lub złagodzono najgłówniejsze prawa; przedewszystkiem pozwolono im znowu posiadać ziemię na własnosć. W cztery lata później, gdy w wojnie z Francyą, Anglia żołnierzy potrzebowała, dała pozwolenie na urządzenie szkół irlandzkich, chcąc przez to Irlandczyków zobowiązać. Od tego też czasu zaprzestano nazywać katolików zasiadających w parlamencie «papistami», ale «rzymskimi katolikami». Wielcy panowie angielscy, duchowni i świeccy protestowali przeciw temu postępowaniu rządu, lecz rząd pod wpływem także rewolucyi francuzkiej uznał za słuszne, popuścić nieco powroza. W r. 1692 przypuszczono katolików do adwokatury przy sądach; rzemieślnicy katoliccy mogli odtąd mieć więcej, jak dwóch uczni; także zniesiono zakaz zawierania małżeństw między katolikami a protestantami. Gdy wojna z Francyą się rozpoczęła, poczyniono jeszcze dalsze ustępstwa, mianowicie przypuszczono Irlandczyków do urzędów państwowych i wojskowych i zniesiono kary za nieodwiedzanie nabożeństwa protestanckiego. Kiedy jednak katolicy o zniesienie innych srogich praw prosili, odpowiedziano im, aby się tem kontentowali, co im już udzielono.

Wszystkie jednak ulżenia okazały się w skutkach raczej złemi dla Irlandczyków aniżeli dobremi. Postarali się o to przyjaciele księcia Wilhelma Oranii. Byli oni zatwardziałymi protestantami, którzy katolików w każdy sposób prześladowali. Za ich sprawą rozpoczął się w r. 1796 srogi ucisk Irlandczyków, nie gorszy od ucisku pod Cromwellem. W jednej jedynej prowincyi wypędzono 700 rodzin z dzierżaw bez powodu; jedynem ich przestępstwem było to, że byli katolikami. Ci Oraniści byli gorliwymi masonami i starali się o to, aby protestantów w Irlandyi mieszkających do loży przyjąć, a potem przez nich gnębić lud znękany. Skutkiem tych prześladowań chwyciła jedna część Irlandczykow za broń. To było Anglikom bardzo na rękę; starali się nawet o to, aby całą ludność do powstania spowodować. Rozpoczęły się znowu mordy, rzezie, pustoszenia; na dobitek wybuchł głód. W czasie tym zabito w potyczkach lub na rusztowaniu około 50 tysięcy Irlandczyków.

(Dokończenie nastąpi).

ZDANIA I MYŚLI.

Kto pragnie piękną pamięć po sobie zostawić,
Musi wiele pracować, a mało się bawić.

Prawdziwa doskonałość na tem się zasadza,
Aby wszystko porzucić, co cnocie zawadza.

Potrzeba nam pracować, ażeby po zgonie,
Spocząć w niebie u Bogu na ojcowskiem łonie.

Niewinność to najdroższa dusz czystych ozdoba.
Niewinność się i Bogu i ludziom podoba.

Nie zakwitną tam kwiaty, gdzie panuje zima
Gdzie grzech się rozpanoszył, tam żadnych cnót nie ma.

Bóg najwyższy gospodarz stawił cię na łanie.
Pracuj na nim sumiennie, póki życia stanie.

Pobożność do wszystkiego wybornie się nada,
Ona uczy jak nam żyć i czynić wypada.

Jeśli chcesz miłość zyskać u swego narodu,
To poświęć się dla dobra ojczyzny za młodu.

PARYŻ.

Któż nie słyszał o Paryżu, chyba jaki prostak i nieuk, który o niczem nie wie, jak o tem, co się dzieje w jego chałupie i wsi, który może myśli, że poza jego wsią już świata nie ma, albo który wcale nie myśli, którego duch śpi. Inni ludzie czytali albo słyszeli o Paryżu, mieście stołecznem Francyi, które przez długi czas było jakoby stołecznem miastem świata, a które i dziś główne zajmuje miejsce i jest celem podróży wielu set tysięcy ludzi z całego świata. Dziś znowu zwyczajne i nadzwyczajne pociągi przywożą do Paryża dziennie tysiące ludzi na wystawę powszechną, która się udała świetnie, chociaż Niemcy nie posłały na nią nic ze swych dzieł fabrycznych, przemysłowych, dzieł sztuki, rólnictwa i rzemiosła.

Paryż jest miastem jednem z największych na ziemi i najwięcej godnych widzenia. Ciągnie się 1½ mili wzdłuż, a 8 mil musi przebyć, kto chce miasto naokoło objechać, albo obejść. Liczy około 2 milionów mieszkańców, a samych ubogich i żebraków 100,000. W Paryżu jest około 2 i pół tysiąca zwyczajnych ulic, 113 wielkich szerokich ulic, 136 placów publicznych. Oprócz tego jest na miejscu dawniejszych okopów i wałów 84 ulic szerokich jak jakie place, które się nazywają bulwarami. Po obu stronach rzeki Sekwany, płynącej przez miasto, założone ulice spacerowe, których się liczy 46. Naturalnie, że na przedmieściach wiele jeszcze jest ulic i domów brzydkich, ciasnych, małych, lecz przepych budowli publicznych i prywatnych i urządzenia, a ozdoby ulic w głównych częściach miasta są nadzwyczajne.

Najpierw jest tam katedra, pyszny i wielki kościół, położony w najstarszej części miasta, na wyspie, którą tworzy rzeka Sekwana. Dwie piękne wieże kościoła są 204 stopy wysokie. Piękny jest także kościół św. Genowefy, całkiem okrągły, oparty na 32 kolumnach. Kościół św. Magdaleny należy do najwspanialszych budowli. Pałac dawniej królewski i cesarski (za Napoleonów), nazwany Tulerjami, jest 468 stóp długi i nader wspaniały, jest jednym z największych i najpiękniejszych na świecie. Teraz pałac ten poczęści zniszczony przez komunistów, którzy chcieli zniszczyć wszelkie ślady i pomniki po dawniejszych monarchach, bo dziś Francya jest rzecząpospolitą, tj. na czele rządu nie stoji dziedziczny cesarz ani król, ani żaden monarcha (jednowładzca), lecz prezydent przez lud na pewien czas obierany. Przy Tulerjach znajduje się wspaniały ogród, po którego obu stronach znajdują się terasy 720 stóp długie, i które się ciągną wzdłuż Sekwany, aż do placu zgody (konkordyi), zkąd się wchodzi na pole Elizejskie.

Z Tulerjami połączony jest pałac, nazwany Louvre (czytaj Luwr), w którym są nagromadzone dzieła sztuki, piękne obrazy. Komuniści zniszczyli tu zbiór książek, których było sto tysięcy.

Nie mniej sławnym jest «pałac królewski», do którego należy ogród, a około niego galerye, w których znajduje się 200 pysznych sklepów kupieckich, kawiarnie, restauracye, i nowa wielka galerya pokryta dachem szklannym.

Teatrów w Paryżu jest 22. Widzenia godnym jest potem «pałac inwalidów», ogromny gmach, mieszczący w sobie dziewięć podwórców. Niedaleko jest «plac marsowy» 2100 kroków długi. W hotelu inwalidów jest pochowany Napoleon I.

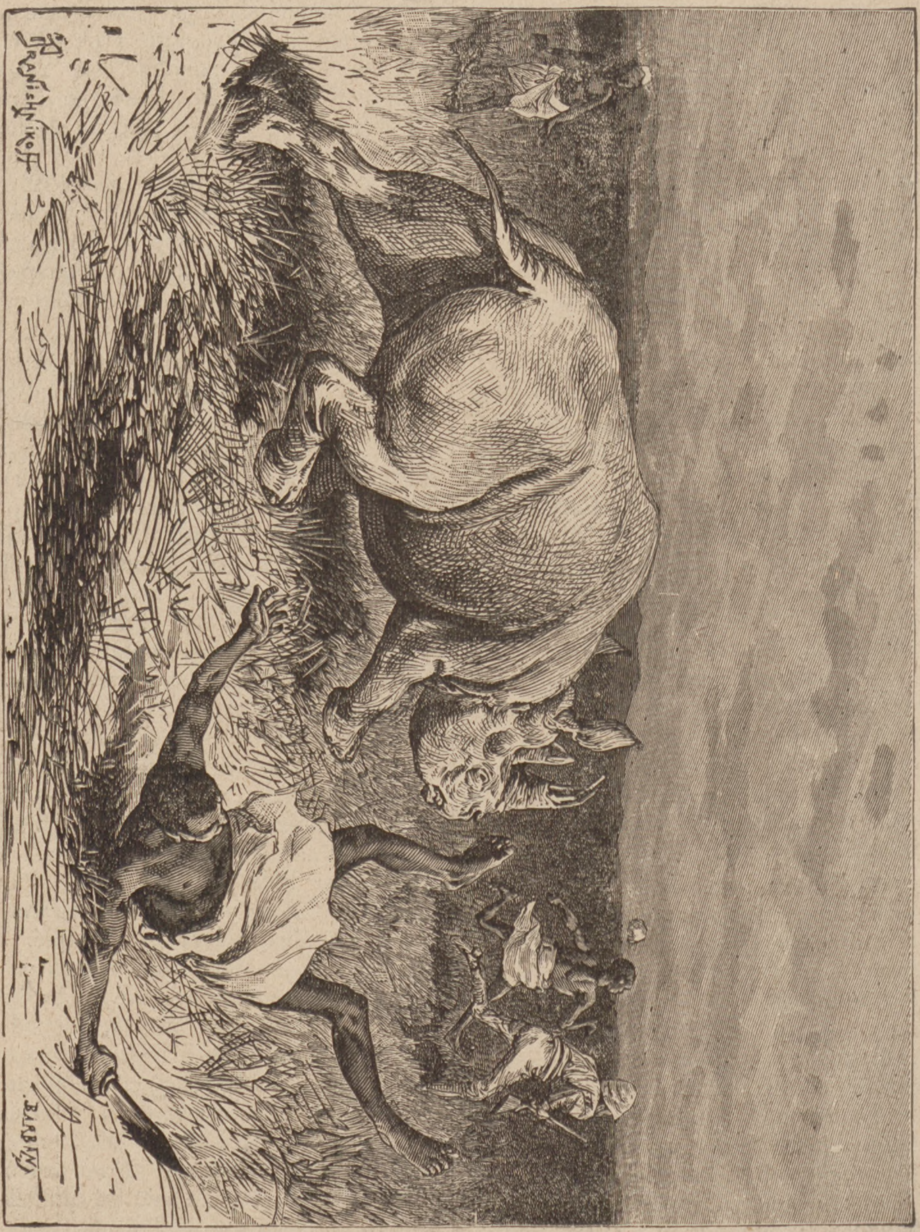
Do osobliwości miasta należą: brama tryumfalna wybudowana przez Ludwika XIV, obelisk (wysoka, śpiczata kolumna czworograniata) na placu zgody. Obelisk sprowadzono z Egiptu. Na placu Vendome stoji posąg Napoleona I. na kolumnie 140 stóp wysokiej. Komuniści zburzyli ten pomnik, ponieważ przypominał tyrana. Na pamiątkę rewolucyi 1830 roku wystawiono na innym placu pomnik 158 stóp wysoki. Ma też Paryż swe podziemne dawne cmentarzyska, katakomby, w których w gankach i salach spoczywa jakie 2 miliony umarłych.

Że w takiem mieście jak Paryż jest ogromny ruch, to sobie można wyobrazić, bo wielu ludzi tu mieszka i bardzo wielu przebywa gości z całego świata. Na głównych ulicach taki hałas, że aż się w głowie mąci. Po bokach ulic pełno ludzi się ciśnie w tę i ową stronę, ludzie z różnemi pakami i ciężarami cię szturchają, na ulicę nie możesz zstąpić, bo tam od jednego brzegu ulicy do drugiego pełno wozów, które się czasem minąć nie mogą. W Paryżu liczą przeszło 50,000 wozów, pomiędzy którymi jest 400 omnibusów, i 28,000 wózków o dwóch i o jednym kole, ręką ciągnionych lub pchanych. Tu ryczy osieł przed wózkiem handlarza z warzywem, który z krzykiem poleca sałatę (ulubioną potrawę Francuzów) i cebulę; inny krzyczy: kupcie miotły! pudełka z papy! Jedzcie ostrzygi! woła kobieta.

Tu placki! kasztany! szaty! szkło! skórki królicze! Pomiędzy tem wszystkiem słyszysz dzwonki sprzedawaczy w kramikach, muzykę niezliczonych katarynek po ulicach i podwórkach. W kątach ulic siedzą kobiety naprawiające materace i druciarze. Pod koła wozów zwożących z ulic śmieci, cisną się gałganiarze szukając resztek papieru, płótna, skorup, korków, aby swoją zdobycz w domu poukładać według gatunków, oczyścić i sprzedać handla-

rzom szmat. Nawet w nocy gałganiarz chodzi po cichych ulicach, nieogolony, z koszykiem na plecach, w jednej ręce dziabaczkę a w drugiej latarkę, w kloakach znowu inni polują na szczury, a kloaki w Paryżu, w których się zbierają wszystkie nieczystości pod ziemią, to całe miasto z ulicami i placami. Inni znowu szukają w szlamie żelaza i kosztowności zgu-

wność rozmaitą, a sprzedaje się żywność nie tylko na targach, lecz w osobnych ogromnych budynkach o szklannych dachach. Tu dopiero ścisk, krzyk, ruch, nawoływanie, i to dzień i noc, chyba od 12—2 w nocy nieco się uspokoji. Stół przy stole, kramik przy kramiku, jeden rząd przy drugim, bez końca; ryby, raki, muszle, masło, jaja, warzywa, mięsiwa, zwie-



Indyanie uciekają przed nosorożcem. (Zobacz objaśnienia rycin str. 318).

bionych. Dalej widzisz ubogiego sprzedawacza trucizny na szczury, i aby wszyscy widzieli jak skuteczny jego środek, to nosi tuzin zdechłych szczurów związanych na drążku, na którym napis: «nie ma pardonu, wojna nieubłagana ze szczurami».

Chcesz poznać jeszcze lepiej życie ludowe w Paryżu, to idź tam, gdzie sprzedawają ży-

rzyna, skóra, mydło, zabawki całemi kupami. Dalej w okrągłej sali, pokrytej kopułą szklanną mierzącą 210 stóp średnicy, leżą miechy ze zbożem i mąką. Na otwartych rynkach mieszczą się towary pod takiemi galeryami w kramikach, mianowicie owoce i włoszczyzna. Przekupki siedzą na dworze naokoło studni. Już o północy chłopi i wieśniaczki zapełniają są-

siednie ulice, a nim słońce wejdzie już sprzedany towar. Nadciągają potem jednokonne zielone wóziki wieśniaków sprzedających warzywa, które wysypują na rynku, z czego się tworzą całe góry owoców i warzyw różnego ga-



BOZE, ULITUJ SIĘ! (Zobacz artykuł na str. 316).

tunku. Kiedy Paryż się obudzi, już nie ma wozów i wszystko gotowe, tylko przyjść i kupić, wozy, które przywiozły mleko, warzywa, sery już znowu są za miastem. Teraz zaczyna się handel przekupni na targach i po domach, kobiety i służące wychodzą na zakupno, szynki winne zapełniają się ludźmi o szerokich barach i twarzach, w niebieskich bluzach i spódnicach, w szarych kapeluszach, których szerokie brzegi chronią głowę i ramiona. To są ludzie, którzy gotowi są roznosić i rozwozić towary za zapłatą na wszystkie strony.

Kataryniarze grają i śpiewają narodowe śpiewki; niektórzy jedzą sobie pod gołem niebem z miski zupę z cebulą, albo kupują od

wędrownych handlarzy kawałki słoniny (szpyrki) i mięsa, a do północy szynki winne zapełnione nicponiami, gałganiarzami, dawnymi więźniami itd. We wszystkich częściach Paryża są takie murowane, kryte gmachy targowe ze studniami, w których znajduje się wszystko na sprzedaż, co sobie tylko pomyśleć można, nawet konie. Za przykładem Paryża budują takie gmachy i w innych wielkich miastach. W Paryżu masz całą Francyą, i ludzi i towary z całego kraju. Paryż jest bardzo dobrze położony nie tylko ze względu na kraj ale na całą Europę, leży w sercu Europy. Dla tego zjeżdżają się tu ludzie z całego świata. Tu się krzyżują drogi prowadzące do Hiszpanii, Anglii, Szwecyi, Niemiec, Włoch. Paryż jest do dziś głównem miastem świata we wielu rzeczach i nikt mu tego pierwszeństwa nie może odjąć. Berlin chciał się wynieść po nad Paryż, lecz nie udało mu się.

Przy nucie krakowiaka.

OPOWIADANIE Z NIEDALEKIEJ PRZESZŁOŚCI

napisał

Władysław Rabski.

> Wziął w ręce lirę i spory dzbanek,
> Miodem pierś starą zagrzewa,
> Skinął na chłopców, — ci do multanek,
> Brząknął, nastroił i śpiewa.
>
> Mickiewicz.

Lubiłem słuchać opowiadań tego starca, którego w mojem rodzinnem mieście wszyscy znali pod nazwą «pana kapitana», a przed którym z szacunkiem schylały się głowy, gdy wolnym, ale pewnym, nieomal żołnierskim krokiem przechadzał się ulicami miasta, lub pięknemi cienistemi alejami opodal wałów fortecznych. Często przechodząc koło mego okna zastukał w nie kijem, a gdy na znajomy mi brzęk sz by odchylałem firankę, wtedy z uśmiechem kiwał na mnie, wabiąc na wspólną przechadzkę. Zwykle też nie namyślałem się długo, lecz chwyciwszy za kapelusz, biegłem towarzyszyć panu kapitanowi, którego myśli, uczucia i porywy były echem innych czasów, echem, niezrozumiałem częstokroć dla mnie, wychowańca ostatnich lat życia dziewiętnastego wieku, ale echem mimo to dziwnie przyjemnem. A on? I on mnie lubił, choć czasem, gdym sceptycznym uśmiechem odpowiadał na jego marzenia i umarłych romantyków przypominające zasady, uchwyciwszy dłoń moją, z przestrachem spoglądał mi w oczy, a potem głową potrząsał i drżącym głosem mówił mi wiele, wiele rzeczy, na które uśmiechać już się nie odważyłem.

Pomnę raz, było to jakoś w maju, pan kapitan spotkawszy mnie na ulicy, uchwycił za rękę i po krótkiem powitaniu zapytał:

— No jakże? jesteś wolny chłopcze?

— Jak ptak — odparłem wesoło.

— To chodźże, chodźże ze mną. Jesteś mizerny, a powietrze tak piękne, natura tak pełna poezyi, że grzechem byłoby siedzieć w czterech ścianach zakopconych dymem fajczanym. Ot! lepiej zaciągnąć się wonią bzów i kasztanów kwitnących.

Z chęcią zgodziłem się na tę propozycyą i podawszy ramię panu kapitanowi skierowałem kroki ku miejscu zwykłych przechadzek.

Ludzi roiło się pełno, jak to zwykle bywa w maju uroczym, a mój siwy jak gołąb towarzysz w znakomitym humorze śmiał się, dowcipkował i żartował, ilekroć zwracałem głowę za pięknemi twarzami kobiet przesuwających się sznurami koło nas.

— Wietrzniku! motylu! — groził pan kapitan — powiem ja wszystko tej... tej... no! wiesz... tej małej z czarnemi oczyma.

Wtem kataryniarz wygrywający jakieś modne walce i spoglądający błagalnym wzrokiem na przechodniów zmienił melodyę, a ja słysząc nutę krakowiaka, półgłosem zanuciłem:

> Brunetki, brunetki mi się podobają,
> Bo wszystkie blondynki nie stale kochają.

W tej chwili jednak uczułem, że ręka kapitana zadrżała, a twarz dziwnie wzruszona z jakiemś nieokreślonem uczuciem smutku w dal spoglądała.

— Panie kapitanie — szepnąłem z cicha — czy coś złego się stało?

— To nic — odparł po chwili — zwyczajnie... wspomnienia... rozczuliłem się trochę.

Nie mogłem pojąć, zkąd przy wesołej nucie krakowiaka wzięło się to rozczulenie, a choć ciekawość mnie paliła, pytać nie śmiałem, i milcząc postępowałem obok starca, który uchem chwytał cichnące dźwięki katarynki.

Wreszcie i te przebrzmiały, a pan kapitan ścisnąwszy mnie silniej za ramię skręcił ku bocznej, prawie bezludnej alei. Wiedziałem, co to znaczy. Tam była mała ławeczka, a na niej mój zgrzybiały przyjaciel często opowiadał swoje dzieje czasem wesołe, ale częściej smutne, bardzo smutne.

Ławka była pusta, więc spoczęliśmy obaj i przez chwilę głębokie panowało milczenie.

Snać starzec szukał w pamięci związku wypadków, które chciał przedemną roztoczyć, bo wzrok utopił nieruchomo w ziemię, a wargi tylko czasem kurczowo zadrgały. Wreszcie położył zmarszczoną dłoń na mojem kolanie i spytał krótko:

— Chcesz słuchać?

Szepnąłem coś o wielkiej wdzięczności, a pan kapitan patrząc przed siebie, tak zaczął mówić:

— Dzieje listopadowej rewolucyi znane ci z książek, znane i z moich opowiadań. Nie będę ci więc powtarzał ani wzięcia Warszawy, ani warunków poddania, dość że usłyszawszy komendę: lewo w tył! marsz! jakoś strasznie zrobiło mi się na sercu, i gdyby nie szeregi moskiewskich sołdatów drwiąco na nas spoglądających, byłbym płakał jak dziecko. Ot! nie ma co mówić! (tego zwrotu używał kapitan często w chwilach wzruszenia.) Przeszliśmy granicę i wnet otoczyli nas Prusacy wężowym pierścieniem. Więc biedne rozbitki broń w kozły postawili, a potem rozeszli się na tułactwo, gdzie kto mógł i gdzie przyjąć zechciano. Ja udałem się najprzód do Drezna, a otrzymawszy od przyjaciół i krewnych trochę grosza, razem z innymi podążyłem na gościnną ziemię Francuzów.

W Paryżu zastałem już tłumy rodaków, również wygnańców, również rozbitków strasznej burzy, która nad Polską przeleciała. Zacząłem się oglądać za jakiem stanowiskiem, ale choć nie źle po francusku mówiłem, trudno mi było znaleść coś stósownego, bo inni przedemną już pozycye zajęli. Komitet narodowy rozwinął olbrzymią czynność, Francuzi sympatycznem na nas patrzeli okiem, ale było nas za wielu i kasa komitetu wkrótce stanęła pustkami.

Pewnego razu przyszedłszy do biura emigracyi zastałem tam sekretarza, którego naglilłem o wyszukanie jakiego zatrudnienia, bo głód zaczął mi już w oczy zazierać.

— Trudno! — odparł sekretarz — kraj ten staje się dla nas za ciasnym. Jedź pan do Anglii.

— Do Anglii? — spytałem. — Przecież ja słowa po angielsku nie mówię.

— Nauczysz się pan, nauczysz — uspokajał sekretarz; — jest tam już kilku z naszych i wiedzie im się nie źle.

— Ale gdzie ja się tam obrócę nie znając nikogo? — odparłem znowu uporczywie, bo tu byłem przynajmniej w licznem gronie rodaków, a tam sieroctwo i tułactwo większe jeszcze mnie czekało.

— Damy panu list polecający i pieniędzy trochę — perswadował sekretarz — zagospodarujesz się, a gdy pójdzie za ciężko, to wrócisz.

Cóż miałem robić? Poprosiłem o dzień namysłu, a nazajutrz rano oświadczyłem, że jestem gotów do podróży.

Dali list, dali kilkadziesiąt franków, uścisnęli gorąco za rękę, konie ruszyły i — ot nie ma co mówić.

Stanąłem wreszcie w Calais, mieście ponurem i brudnem, gdzie spotkałem jednego z towarzyszów broni, który tu znalazł chwilowy przytułek u zacnej francuzkiej rodziny. Popłakaliśmy się nad sobą, uściskali, nagadali, noc całą marząc o nowej rewolucyi, a potem zapisałem się na okręt i sina fala uniosła mnie ku obcej ziemi, obcym ludom i nieznanym losom. Okręt silną piersią rozpierał bałwany, mewy wtórowały szumowi głębin wodnych echem pogrzebowem, a ja siedząc na pokładzie spoglądałem w głąb mroczną, która zdawała się wabić ku sobie i śpiewać: Chodź do mnie, ja cię przytulę i do snu ułożę między korale i perły, tu cicho jest i spokojnie, a tam skargi tylko, jęki westchnienia.

Pierwszy to raz wtedy myśl samobójstwa powstała w mej głowie, bo choć na obcej ziemi, czułem się zawsze między rodakami, a teraz byłem samotny i opuszczony, tęskno mi było i straszno. Odepchnąłem ją jednak.

Okręt sunął dalej i dalej, fale płynęły ku braciom we Francyi, obłoki gnały ku Polsce, a za niemi leciały myśli moje.

Nagle zbudził mnie z tych marzeń głos miękki, kobiecy:

— Pardon monsieur! Vous etes un Polonais? n'est-ce pas? (Przepraszam! Pan jesteś Polakiem? Nieprawda?)

Podniosłem się z mego siedzenia i ujrzałem przed sobą młodą kobietę wspartą na ramieniu również młodego mężczyzny. Zdziwiony uchyliłem kapelusza i szepnąłem:

— Oui Madame. (Tak pani.)

— A dokąd pan jedziesz? — pytała dalej po francusku kobieta.

— Do Anglii — odpowiedziałem trochę zdziwiony tą ciekawością.

— I zamyślasz pan w Anglii pozostać?

— Tak jest — odparłem sucho, bo drażnić mnie zaczęły te uporczywe pytania.

Domyślny Francuz, prowadzący młodą kobietę, poznał z tonu odpowiedzi, że nie życzę sobie być napastowanym i przepraszając, sympatycznym zapewnił mnie głosem, że żona jego bawiła długi czas w Warszawie, gdzie Polaków nadzwyczaj polubiła.

— O! tak — dorzuciła młoda kobieta — nie gniewaj się pan, bo ja was kocham niemal tak ja Francyę.

Zupełnie udobruchany uczuciem, które drgało w jej głosie, zacząłem opowiadać dzieje powstania i oblężenie Warszawy, mówiłem jej o naszych nadziejach, naszych planach, a ona raz poraz przerywała mi okrzykami:

— Braves Polonais! pauvres Polonais! (Dzielni Polacy! biedni Polacy!)

Brzegi Anglii coraż wyraźniej widniały przed oczyma, wieże miasta Dowru występowały w oddali, a ja wciąż mówiłem szczęśliwy,

że znalazłem duszę poczciwą, przed którą na dolę naszą poskarżyć się mogłem.

Okręt tymczasem coraz leniwszym krokiem posuwał się naprzód; białe jak nagrobki cmentarne, jak widma śmiertelne, skały nadbrzeżne w całej swej nagości stanęły przed strwożonemi oczyma, mewy jęczały przeraźliwie, majtkowie spuszczali żagle, kapitan świstawką wydawał rozkazy, wreszcie okręt przybył do brzegu i rozległ się łoskot pomostu, spuszczanego na pokład. Wszyscy biegli jak opętani, wszczął się krzyk, harmider, wrzawa, — więc i ja choć odurzony tą nieznaną sceną, instynktownie uchwyciłem za kuferek i biegłem za innymi.

Uczuwszy ląd pod nogami, lżej trochę odetchnąłem i zacząłem pytać przechodniów, w jaki sposób dostać się można do Londynu. Ale jeden i drugi spojrzał na mnie, wzdrygnął ramionami i poszedł. Nie rozumieli po francuzku, ja zaś nie mówiłem po angielsku. Wtem owa Francuzka, o której wspominałem, ujrzawszy mnie w tłumie, przybiegła i widząc me zakłopotanie, dopytała się o wszystko jakiegoś chudego Anglika, pomogła kupić bilet pocztowy i pieniądze zmienić, jednem słowem zajęła się mną jak dzieckiem. Uścisnąłem jej dłoń serdecznie, podziękowałem za opiekę i pojechałem...

Tu pan kapitan odetchnął głęboko, a po chwili znów zaczął mówić:

— W Londynie stanąłem o zmierzchu; powietrze było czyste, choć mroźne, ale ulice niemiłe sprawiały wrażenie. Dobyłem z kieszeni list polecający, który otrzymałem w Paryżu, spojrzawszy na adres i zawoławszy fiakra, kazałem się wieść do przeznaczonego mi opiekuna. Nie znając prawie wcale angielskich pieniędzy wyjąłem kilka sztuk z kieszeni i pokazałem stangretowi ma migi, by wziął, co się należy. Uczciwość angielska w tym względzie jest znana, bo policya zapobiega nader bacznie wszelkim nadużyciom. Stangret poskrobał się też trochę po głowie, potem wziął jakąś małą monetę, szepnął «All rigt» (Wszystko dobrze) i odjechał zostawiając mnie przed domem, który mu wskazałem.

Wszedłem do pięknej sieni i zapukawszy do drzwi spytałem się po francuzku:

— Nie mieszka tu pan Hnicki?

— Mieszka, ale wyjechał — odrzekł łamaną francuzczyzną portyer.

— A kiedy powróci? — spytałem trwożliwie.

— Nie wiem,. może za dwa tygodnie, może i później.

Blady z przerażenia wyszeptałem zaledwie «merci» (dziękuję) i wyszedłem taczając się prawie z pokoju. Bo cóż ja miałem począć w olbrzymiem mieście, gdzie żywej duszy nie znałem z kilkoma zaledwie frankami w kieszeni, bez angielskiego języka i znajomości tego labiryntu ulic, uliczek i placów. Szedłem więc błędny i zrozpaczony, ludzie mną potrącali, śmiechy, turkoty, wołania dochodziły mych uszu, a ja szedłem dalej i dalej — gdzie? dokąd? sam nie wiedziałem. Wreszcie uczułem znużenie, — chłód i głód zaczął mi dokuczać. Spojrzałem po domach i ujrzawszy skład przyzwoity wszedłem do niego pytając kupczyków, czyby mi nie mogli wskazać jakiego hotelu taniego. Spojrzeli po sobie, aż w końcu jeden z nich mówiący po francuzku wskazał mi opodal dom z czerwoną latarnią i zapewnił, że tam tanio oraz przyzwoicie. Zwróciłem więc me kroki ku miejscu wskazanemu, poprosiłem o skromny pokoik, zjadłem jeszcze skromniejszą kolacyę, i usnąłem snem gorączkowym.

Nazajutrz pytałem kelnerów o mieszkanie jakiego Polaka, lecz żaden nie umiał mi powiedzieć; a że to była niedziela, więc wszystkie bióra policyjne i informacyjne były zamknięte; w Anglii bowiem niedzielę i święta obchodzą wiele ściślej jak u nas. Rozbolały ciągłemi zawodami byłem w rozpaczy nieomal, a rozpacz ta tem większą się stała, gdy po zapłaceniu rachunku hotelowego ujrzałem się panem zaledwie kilku pensów. Zabrałem więc mój kuferek i znowu rozpocząłem bezuważną wędrówkę po ulicach. Co jeść będę? gdzie noc przebędę? ha! Bóg chyba wiedział.

Gdy wreszcie już nogi wypowiedziały mi posłuszeństwo, postanowiłem wejść do nędznie dosyć wyglądającej traktyerni, aby tu pozostać jak najdłużej. Wszedłszy poprosiłem o bułkę i kieliszek wódki, bo na sutszy posiłek kieszeń moja nie starczyła. Posiliwszy się trochę, w głębokiej utonąłem zadumie i było mi tak okropnie na duszy, że płakać się chciało i głową bić o ścianę i rozedrzeć tę pierś skołataną, którą wszyscy opuścili.

W sali siedziało kilka osób, lecz nikt na mnie nie zwracał uwagi. Jedni czytali, drudzy gwarzyli, ja sam tylko siedziałem jak trup między żywymi. Kelnerzy już znacząco poczęli się kręcić koło mnie, czekając na nowy obstalunek, a ja grosza przy duszy nie miałem, choć jeść mi się chciało, bo naczczo wyszedłem z hotelu. Co robić? Co robić? Tysiąc razy stawiałem sobie to pytanie, lecz tylko szmer uliczny na nie odpowiadał. I przypomniałem sobie moją wioskę rodzinną, którą Moskale zabrali, siwego ojca siedzącego przy kominku, matkę w czepku ogromnym, tulącą swego pieszczocha. Ha! gdzie oni? może już w mogile. To znowu zamajaczyły mi białe orły krwią zbroczone, bracia — żołnierze, bitwy, strzały...

Nagle! Boże! co to jest? co ja słyszę? Za oknem jakieś dźwięki się ozwały, jakieś tony, jakaś muzyka znajoma. Boże, tam Anglik na katarynce wygrywał krakowiaka...

Co się wtedy ze mną działo, tego żadne usta wypowiedzieć nie mogą. Wiem tylko, że mi krew uderzyła do głowy, że się zerwałem jak szalony, a nagle ryknąłem takim płaczem,

że Anglicy zdumieni spojrzeli na mnie myśląc, żem zmysły postradał.

Hej! ziemio moja, Polsko moja! wtedy uczułem, jak ciebie kocham. Myśl moja leciała hen! za Wisłę daleko, słuchała lipy szumów zaklętych i fletni pastuszej, wiła się po srebrnych żytach, płynęła po wodach brylantowych, klękała przed Matki Boskiej cudownym obrazem i płakała jękiem lwicy, której dziecko wydarto i krzyczała: «Łaski Panienko przeczysta, litości, Matko Bolesna!» I znowu ryknąłem strasznym płaczem, a zimni słuchacze patrzeli zdumieni, gdy wtem w ciemnym kącie izby zadymionej rozległ się jęk drugi, jęk podobny mojemu, jęk rozdartego serca, któremu wszystko zabrano. I ujrzałem postać bladą, patrzącą na mnie zapłakanemi oczyma, i rozwarłem ramiona i biegłem jak szaleniec tulić ją do piersi, bo jednej Polski dziecię tak płakać mogło w tej chwili.

Długo, długo trzymaliśmy się w objęciach, a łzy mięszały się i spływały po licach naszych. Potem ciasno nam się zrobiło i duszno, więc wybiegliśmy na ulicę i trzymając się pod rękę łkaliśmy po cichu. Wreszcie ocucił nas chłód powietrza z bolesnej zadumy. On spojrzał na mnie i szepnął:

— Chodź!

Skręciwszy w jedną z bocznych uliczek wprowadził mnie do ponurej kamienicy o czterech piętrach, a na trzeciem otworzył drzwi, na których ujrzałem przybitą kartę z napisem: Ludwik K....wicz.

Pokoik skromnie umeblowany nader miłe sprawiał wrażenie, na stole leżały książki, w oknie kwiatów pełno się uśmiechało, a nad biórkiem wisiał niewielki portret młodej kobiety o jasnych włosach i błękitnych oczach. Teraz dopiero przypatrzyłem się bliżej memu towarzyszowi. Był to chłopiec młody jeszcze o rysach nadzwyczaj szlachetnych, lekki puszek zdobił jego wargi, a długie włosy spływały mu na ramiona. Na tej pięknej twarzy jednak boleść wyryła piętno smutku i cichej rezygnacyi, a cień ten ponury nigdy już nie zniknął z jego czoła.

Uścisnęliśmy się raz jeszcze gorąco, on długo patrzał mi w oczy, a potem cichym, dźwięcznym głosem mówił:

— Anioł Polski muzyką swoją zbliżył nas do siebie. Jam wygnaniec, a ty... po łzach twoich poznałem, że i ty tęsknisz za Polską.

— I jam bez ojczyzny, bez dachu, chleba — zawołałem.

— Mój dom będzie twoim domem, mój chleb twoim chlebem — odparł. — Dawno tu już jesteś?

Wymieniłem moje nazwisko, opowiedziałem przygody moje, a on słuchał mnie z naprężoną uwagą.

Następnie przez chwilę panowało milczenie; ja znużony rzuciłem się na kanapę, on wsparł głowę na oknie i marzył. Lecz porwał się wkrótce wołając:

— Przecież tyś głodny? Wybacz, rozmarzyłem się i zapomniałem o obowiązkach gospodarza.

Potem nastawił wody na herbatę, wydobył chleba i szynki, a ja z wilczym apetytem zabrałem się do jedzenia. On usiadł koło mnie, uśmiechał się raz po raz smutnie i opowiadał swoje losy. Z słów jego dowiedziałem się, że zaraz po wzięciu Warszawy pospieszył wprost do Londynu, a mówiąc dobrze po angielsku, zajął za rozmaitemi rekomendacymi skromne stanowisko w jednym z banków londyńskich.

Dźwięczny jego głos, inteligencya cechująca każde zdanie i ten smutek dziwny na bladych licach przejmował mnie i coraz więcej przyciągał. Mimowoli spoglądałem na obraz kobiety nad biórkiem i zdawało mi się, że ten obraz gra ważną rolę w życiu biednego młodzieńca, ale pytać go o to nie śmiałem.

Tak gwarząc przesiedzieliśmy pół nocy nieomal, a z każdą minutą przyjaźń dla smutnego towarzysza rosła w mem sercu.

Zegar wybił już pierwszą po północy, — więc on się zerwał, rozebrał łóżko i skłonił mnie gwałtem prawie do wypoczynku, sam zaś rzucił się na kanapę.

W następnych dniach pokochaliśmy się wspólnie jak bracia, a miłość ta przetrwała lat przeszło trzydzieści. Z jego pomocą nauczyłem się po angielsku, za jego staraniem otrzymałem miejsce domowego nauczyciela w pewnym francuzkim domu, a potem udzielałem lekcyi muzyki, śpiewu i historyi, której się niegdyś z zapałem poświęcałem, po pensyach i prywatnych zakładach. Mieszkaliśmy zawsze razem z wyjątkiem pierwszych lat trzech, przez które byłem owym domowym nauczycielem, a nigdy przez te ćwierć wieku chmurka gniewu lub swarów nie przeleciała nad nami.

Wieczorem schodzili się do nas często rodacy, a wtedy gwarno i wesoło robiło się w naszym pokoiku. Jeden tylko Ludwik zawsze smutno spoglądał przed siebie, a czasem i łza niewytłomaczona błysła w jego oku. Niekiedy, gdy pieśni narodowe przebrzmiały w naszem mieszkaniu i pokoik zrobił się pusty po wyjściu tych dzieci niedoli, którzy muzyką i śpiewem odurzali rozbolałe dusze, wtedy bywało, — przyjdzie on do mnie, schwyci za rękę i pyta:

— Czy my jeszcze ujrzymy Polskę, Józefie?

— Ludwiku — odpowiedziałem — czyli wątpisz o tem?

— Widzisz, bo mnie się zdaje czasem — mówił znowu smutnie — jakby już wszystko umarło, a my tylko jak blade widma przeszłości kołatamy się po świecie.

Potem stawał przed obrazem pięknej kobiety nad biórkiem i wpatrywał się weń długo, w milczeniu.

Raz nie mogąc już powstrzymać ciekawości spytałem go nieśmiało:

— Ludwiku, czy to twoja siostra?

On zarumienił się trochę, spojrzał na mnie jakby z wyrzutem, a po chwili odpowiedział:

— Nie pytaj, Józefie, bo to bardzo boli.

Zacząłem go przepraszać, lecz on nie słuchając sam do siebie niby tak opowiadał:

— Dziś już trawa porosła grób jej i tylko brzozy płaczą nad mogiłą. Umarła... a ja sam, sam jeden...

Porwałem się, przycisnąłem go gorąco do piersi wołając:

— Ludwiku! ja cię nigdy nie opuszczę.

Wtedy on spojrzał z taką boleścią, że mnie aż drżenie przeszło.

— Widzisz — szepnął — ja ją tak bardzo kochałem, a dzisiaj jej nie ma...

Zatrzymał się chwilkę, spojrzał na obraz i znowu mówił:

— Rodzice moi, choć to daleka była krewna, kochali ją jak córkę i już błogosławiąc ręce na głowach naszych złożyli, gdy wybuchła rewolucya. Pożegnanie było okropne. Jaka ja z ciebie teraz będę dumną, Ludwiku, — mówiła. — Jak rycerz średniowieczny stoczysz bój zwycięzki i laurem okryty przytulisz twoję gołębicę... Poszedłem, a tam Moskale wypadli i znaleźli rannych. Spytali o syna domu, a syna nie było, — więc matkę do cytadeli, ojca w Sybir pognali, a ją, ją... Boże!...

Łkając rzucił się na łóżko, a ja szanując jego boleść milczałem.

Tu pan kapitan wzruszony znowu przestał mówić i dopiero po dłuższej chwili tak zaczął:

— Płynęły dni, lata i lat dziesiątki, szron włosy nam przypruszył, a życie wygnańców toczyło się spokojnie, choć zawsze tęsknotą owiane. Doleciały do uszu naszych gwary rewolucyjne 48-go roku, chcieliśmy pobiedz razem z innymi, ale pobudka wojenna wkrótce umilkła i znowu była cisza długa i bolesna.

Nareszcie jakieś głuche zaczęły z Polski dochodzić nas wieści. Twarze emigrantów stawały się jaśniejsze, rozmowy przeciągały się długo w noc, coś nas paliło, elektryzowało, coś ciągnęło nad Wisłę, ale na pytanie nasze odbieraliśmy zawsze jedną odpowiedź: Jeszcze nie czas!

Nagle pewnego wieczora wpadł Ludwik zarumieniony, pot spływał mu dużemi kroplami po twarzy, a on słowa wymówić nie mógł.

Przestraszony pytam, co się stało.

— Czytaj! — odpowiedział.

Rzucił jakiś papier na stół, a sam biegał jak szalony po pokoju.

Porwałem pismo, — przeczytałem:

.... «w Polsce wybuchło powstanie!»

Nic nie mówiąc położyłem dłoń na ramieniu Ludwika i spojrzałem mu w oczy. Zrozumieliśmy się nie wyrzekłszy ani słowa, a na szósty dzień załatwiwszy interesa i opatrzeni w angielskie paszporty siadaliśmy na okręt. Przed wyjazdem, Ludwik ukrył starannie portret kobiety o błękitnych oczach.

Przybywszy do Poznania i zaciągnąwszy bliższych informacyi postanowiliśmy nie korzystać z paszportów, lecz nocą przeprawić się przez granicę.

Pod strażą starego przemytnika, który Moskali strasznie nienawidził, przeszliśmy kordon szczęśliwie. Potem przemytnik wiódł do jednego z domów obywatelskich, gdzie nas gościnnie przyjęto i odesłano znów nocą do lasów, w których tworzył się oddział powstańców.

Przybycie dwóch starych weteranów napełniło zebraną młodzież otuchą, a były to wszystko zuchy dzielne, odważne, pełne fantazyi kawalerskiej i ognia.

Oddział z każdym dniem się powiększał, nadzieje były jak najlepsze, wesołość i zapał panowały w obozie, tylko Ludwik zawsze smutnem okiem spoglądał na mnie, a czasem ręką zasłaniał oczy i z jakimś nieokreślonym wyrazem ciekawości i boleści badał okolicę. Snać jakieś wspomnienia budziły się jego duszy, ale nie chcąc rozraniać zabliźnionej rany nie pytałem o to.

Wreszcie dałem rozkaz do wymarszu; albowiem mnie jako najstarszemu wiekiem i dawnemu żołnierzowi powierzono dowództwo, Ludwika zaś mianowano porucznikiem.

Było nas naonczas 60 ludzi, strzelców i kosynierów, a ja patrząc na tę młodzież rycerską zapomniałem o zbliżającym się szóstym krzyżyku i gładząc lufy mojej dubeltówki, marzyłem o strzałach, bitwach i zwycięztwach.

Moskale tymczasem powąchali już naszą garstkę, a ludzie wysyłani na zwiady, przynosili nam coraz częstsze wieści o pułkach kozackich krążących w okolicy. Mojem dążeniem było, połączyć się jak najprędzej z oddziałem Taczanowskiego, ale posuwaliśmy się tylko wolno i zawsze prawie nocami, by nie wpaść w ręce Moskalom, a zresztą żołnierz niewprawny i młody, choć najlepszemi ożywiony chęciami prędko upadł na siłach.

Wreszcie zabrakło pożywienia, a ludzie wysłani do wsi pobliskiej donieśli, że wieś obsadzona moskiewską piechotą. Przed wieczorem przyprowadzono mi chłopa, którego schwytano dla języka.

— Wielu tam Moskali? — pytałem.

— O będzie godnie ze trzysta, wielmożny panie — odpowiedział.

— Gdzie stoją? — pytałem dalej.

— Po chałupach i stodołach, a oficyery ta we dworze.

— A ty zkąd?

— Wej ze wsi, wielmożny panie.

— Mają konie? — zagadnąłem znowu.

— Dyć, będzie z pięćdziesiąt.

— Czy sołdaty pijane?

— Piją psie wiary — zaklął chłop — bo oficerzy kazali z gorzelni beczki wypchnąć,

a co nie mogą wychlać, to przebiją i wypuszczają.

Kazałem chłopu dać wódki i pewny, że pijani Moskale tak prędko nie pójdą za nami, postanowiłem w tej chwili ruszyć w drogę, by w sąsiedniej wsi posilić się i odpocząć, bo noce były zimne, a ognie w lesie rozpalić znaczyło to samo, co zdradzić się. Żołnierz, choć zmęczony, w nadziei prędkiego spoczynku żwawo ruszył naprzód, a około godziny ósmej z wieczora roztasowaliśmy się już we wsi po stodołach na słomie, warty tylko miarowym krokiem krążyły wokoło. Gościnny gospodarz, Polak duszą i ciałem, suto nas ugościł, a mnie z Ludwikiem zaprosił na noc do dworu.

Wnet zakipiał na stole samowar, znalazły się też omszałe butelki i ciepło staropolskiego domu tak nas rozgrzało, że pół nocy przegawędziliśmy wesoło, śmiejąc się i żartując. Ludwik nawet trochę się rozruszał, a ja szczęśliwy, że uśmiech zawitał na jego ustach dokazywałem jak dzieciak.

Gospodarz nasz, nie stary jeszcze człowiek, opowiadał, że kilka dni temu przewiózł pod okiem Moskali 4 wozy broni i śmiał się z głupich Iwanów aż ściany trzeszczały, a potem rozgadawszy się na dobre opowiadał historyjki z całej okolicy.

— Widzisz pan — mówił do Ludwika — o 4 mile ztąd leży majątek, którego dziedzic swego czasu nosił pana nazwisko.

Ho! ho! mości dobrodzieju, byłem ja wtedy jeszcze gołowąsem i nie pamiętam już tam tego, ale niebożczyk mój ojciec, świeć Panie nad jego duszą, powiadał, że to był wiarus nie lada. Lecz niezbadane, mości dobrodzieju, wyroki Boskie, bo na smutny przyszło mu koniec. W czasie rewolucyi wpadli Moskale, jego na Sybir wywlekli, matka w cytadeli umarła, a z wychowanką ich... lepiej nie mówić... umarła... O sukisyny, wszeteczniki, bodajby ich paraliż rąbnął!

Tu machnąwszy ręką dodał:

— Majątek ładny zabrali i królewszczyznę z niego zrobili, a syn nieborak, dzielny to był pono chłopak, gdzieś na emigracyi się tuła. He? może to jaki krewny pana, a może... ej! mości dobrodzieju, że też to ja zaraz się nie spytałem, może ty nim sam jesteś?

Ludwik blady jak ściana patrzał na mówiącego i słowa nie mógł wykrztusić, a ja nie wiedząc, co dalej począć i co odpowiedzieć, dawałem znaki gospodarzowi, by więcej nie pytał. Lecz szlachcic, skoro tylko ujrzał bladość Ludwika i moje giesty, porwał się piorunem i chwyciwszy towarzysza mego za ramiona wołał:

— A bodaj cię, a żeby cię!... Aleć to ty nim jesteś. A to ze mnie barania głowa!

Tu się zaczęły nowe uściski i nowe wykrzyki, które trwały bez końca. Ludwik niemy i blady słuchał wylewów szlachcica, któremu czupryna nie źle się już kurzyła: dopiero gdy ten krzyknął:

Hej! Kaśka, a podajno duchem wina!

Ludwik potrząsnął głową i szepnął:

— Nie mogę.

— Tere fere! — krzyczał szlachcic — nie możesz? Czy to twój ojciec nie pił? Pili ojcowie, będą pić i syny. Na pohybel Iwanom!

I dalej znów ściskać Ludwika i wymyślać Moskalom i grozić, że wszystkich na szabli rozniesie, aż uszy bolały.

Ludwik jednak stanowczo się oparł, a ja oświadczyłem poważnie, że jutro, skoro świt, ruszamy w drogę, a północ już niedaleka. Chcąc niechcąc musiał więc szlachcic ustąpić i wyściskawszy nas raz jeszcze porządnie, odprowadził do przeznaczonego pokoju.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, Ludwik wydobył portret zpod czamary i wpatrywał się weń długo. Potem obrócił się do mnie, spojrzał wielkiemi, smutnemi oczyma i rzekł:

— Józefie, ja mam złe przeczucie. Przed śmiercią chcę raz jeszcze tę ziemię, po której ona chodziła, ucałować, chcę raz jeszcze widzieć te miejsca i umrzeć. Jutro w nocy sam pójdę, a pojutrze złączę się z wami.

Schyliłem głowę na znak zgody, a on dalej mówił:

— Patrz! jak dziwny los mnie ściga. To jej duch czysty tu mnie przyprowadził, bym pożegnał nasze gniazdo rodzinne, odetchnął wonią tych lip, pod któremi pierwszy z ust jej wziąłem pocałunek, a potem połączył się z nią na zawsze.

Umilkł i w rzeczach rzucił się na łóżko, ale długo słyszałem jeszcze westchnienia tego dzielnego serca, w którem ni wiek, ni twarde losy wygnania nie przygasiły czystych i gorących uczuć płomieni. Wreszcie i mnie sen zmorzył, a po całodziennych trudach spałem jak kamień.

Nagle uczułem jakieś silne wstrząśnienie, usłyszałem hałas i krzyk Ludwika:

— Józefie! Moskale we wsi, spiesz się, spiesz się.

Przetarłem oczy, a na dworze dzień się już robił. Wtej samej chwili prawie usłyszałem krzyki i tętent galopujących koni, — więc chwyciłem dubeltówkę i razem z Ludwikiem zbiegłem na podwórze. Garstka moich ludzi już się sformowała i zatarasowawszy bramę oczekiwała cwałujących kozaków. Spojrzałem, — konnicy była garstka tylko, lecz wtem jeden z żołnierzy, ów przemytnik, który nas tu przeprowadził, krzyknął:

— Panie kapitanie, od boru piechota!

— Gdzie? — skoczyłem na drabkę od stodoły i w jednej chwili objąłem położenie. Za mną jezioro, łąki i kozacy, przedemną lasy i trzy oddziały piechoty. Widocznie chłop nas zdradził, lub patrol kozacki dojrzał i dał znać do wsi sąsiedniej. Jak wyjść z tej obręczy żelaznej, w którą nas objęto? Spędzić garstkę

kozaków i cofnąć się nad jezioro, — to fraszka, ale cóż potem? Gdzie uciekać przed zbliżającą się z trzech stron piechotą o dalekonośnych karabinach? Bój staczać na otwartych łąkach z koncentrującym się tymczasem i kilkakroć liczniejszym nieprzyjacielem, — to szaleństwo. Więc zostać? wystrzelanoby nas jak kaczki, bo dubeltówki moich dwudziestu strzelców były zabawką wobec świetnie uzbrojonych Moskali.

Pozostała jedyna, choć krwawa, droga ocalenia: — lasy. Wpaść w zarośla graniczące ze wsią i pod osłoną gęstwiny przerznąć się przez bagnety zastępującego oddziału piechoty, oto ostatnia deska ratunku. Ha! trudno!

— Bracia! — zawołałem — musim się przebić. Nie mamy innego wyjścia.

Głębokie milczenie odpowiedziało na moje słowa, wszystkim stanęła śmierć przed oczyma. Jeden tylko przemytnik, bardzo do mnie i do Ludwika przywiązany, podniósł kosę do góry i krzyknął:

— Tak czy tak śmierć nas czeka: lepiej umrzeć w bitwie jak na stryczku.

To podziałało. Jakaś dzika odwaga wstąpiła we wszystkich.

Tymczasem garstka kozaków, pod komendą młodego i ambitnego oficera, harcowała coraz bliżej, aż wreszcie od strony lasu, nizkim wałem tylko oddzielonego, wdarła się na obszerny dziedzieniec.

Co? bez piechoty? szaleńcy! pomyślałem. Młody oficer, nie spodziewał się tylu strzelców, a strasznych kos jeszcze nie powąchał. Sława go nęciła, lecz przed sławą były kule i kosy.

— Czuj duch! — krzyknąłem.

Strzelcy moi ukryci za wozami z zimną krwią czekali natarcia, mierząc spokojnie. Chwila jeszcze... huknęły strzały, raz... i drugi. Kilkunastu kozaków spadło, kilkanaście koni harcowało bez jeźdźców, reszta poszła w dziką rozsypkę.

Przemytnik splunął, co było znakiem dobrego humoru i krzyknął:

— Czas teraz!

W mgnieniu oka sformowałem moich ludzi, w środku strzelcy, na przedzie i po bokach kosyniery. Pospiesznym krokiem wpadliśmy w zarośla graniczące z borem, pół wiorsty jeszcze, a będziemy w lasach.

Ludwik z kosą w ręku postępował koło mnie, a oczy jego rzucały błyskawice. Żelazny łańcuch moskiewskiej piechoty rozwinął się opodal lasu, schyleni zbliżamy się coraz bardziej. Czas już, pomyślałem, i z gromkim okrzykiem: Naprzód! rzuciłem się pędem na zwarte szeregi.

Zagrzmiały strzały, czterech moich ludzi zatoczyło się i padło. Liczyłem dobrze, zarośla chroniły nas, zaledwie kilka kul znalazło ofiary.

— Naprzód! — krzyknąłem raz jeszcze.

Znowu ozwały się strzały, znowu kilku naszych zostało, jęki i krzyki słyszałem za sobą, ale nie było czasu myśleć o ratunku. Już zaledwie kilka kroków nas dzieli. — Ja rzuciwszy strzelbę i wydarłszy jednemu z poległych kosę, razem z Ludwikiem pierwszy wpadłem w żelazne kolumny.

Naprzód! I wtedy wszczął się bój straszny. Błyszczące kosy wiły się jak węże, stal o stal dzwoniła, raz poraz strzał huknął, a garstka moich, wściekła i szałem dzikim ogarnięta rwała się naprzód. Ludwik z kosą w ręku wyglądał jak Cherub z mieczem ognistym. zdawało się, że się dwoi i troi, a drogę jego znaczyły krew i trupy. Jako niedźwiedzia w puszczy opadną ogary, a on potężną łapą trupem je ściele, tak każdy z nas siał śmierć w około, bo każdy prawie wtedy był olbrzymem. Przemytnik stary i Ludwik przerznęli się pierwsi. Olbrzymim wysiłkiem przedarłem i ja wkrótce ostatnią linię, koło ogniste kosą zakręcając i stanąłem straszny wściekłością obok nich.

— W bór! — krzyknąłem, widząc zdala sformowanych znowu kozaków.

Napróżno! Ludwik się wrócił. I jeszcze raz zginął w stalowych rotach, jeszcze raz widziałem zbroczoną kosę wzniesioną do góry, widziałem nozdrza rozdarte, lica płomieniejące i trupy za nim i przed nim. A straszny był to żniwiarz i straszną była kosa w jego ręku. Wreszcie wyskoczył znowu z żelaznego koła, wyskoczyło i kilkunastu innych strasznych i krwawych, — reszta poległa.

— W bór! — krzyknąłem.

Strzały huknęły za nami... usłyszałem krzyk:

— Jezus! Marya!

Ludwik zatoczył się i padł.

— Wachu! — krzyknąłem na przemytnika — Wachu ratuj!

Wach przyskoczył, schwycił razem ze mną ulubionego porucznika i pędem biegliśmy z drogim ciężarem w gęstwinę, a za nami rozlegał się tętent kopyt kozackich. Jak długo biegliśmy, nie umiem powiedzieć, wiem tylko, że słońce już bardzo wysoko było na niebie, gdy mdlejąc z zmęczenia padliśmy bez duszy prawie koło rannego, a z nami niedobitki moich dzielnych żołnierzy.

Ludwik nie dawał znaku życia. Bezwładny i krwią zbroczony leżał na trawie bez oddechu, bez ruchu, jak głaz zimny. Rozdarłem surdut na piersiach, przyłożyłem rękę do serca, biło, ale słabo tylko. Wach tymczasem dobył manierki i w zaciśnięte usta wsączył mu kilka kropel ostrego płynu, ja zmoczyłem chustkę w gorzałce i nacierałem czoło oraz skronie rannego. Wreszcie lekki oddech dobył się z piersi Ludwika, po chwili oczy otworzył i omdlałem okiem wodził w około. Teraz rozebrałem go z pomocą Wacha szukając rany. Koszula na plecach była krwią zbroczona, kula uwięzła głęboko w krzyżach. Przy rozbieraniu Ludwik znowu omdlał. Kilku żołnierzy pobiegło do pobliskiego strumyka i wody w manierkach przynieśli, a Wach rozdarłszy koszulę porucznika, starannie obmywał ranę, — potem

spojrzał na mnie, wzdrygnął ramionami i mruknął: Źle! Ból ścisnął mi serce, ale stłumiłem łkanie, starałem się ocucić omdlałego. Wkrótce otworzył znów oczy, a widząc mnie schylonego nad sobą szepnął ledwo dosłyszalnie:

— Józefie... zanieś tam... gdzie ona.

— Dobrze, później — odpowiedziałem, bo pot spływał nam jeszcze z czoła i Moskale krążyć mogli w około.

— Nie, nie... zaraz... to śmierć — szepnął znowu ranny, a nagle zrobił ruch jakby chciał się podnieść z ziemi i spytał niespokojnie:

— Gdzie obraz?

Podałem mu natychmiast portret, który nosił na piersiach. Biedny Ludwik wpatrywał się weń długo, potem gdym zbliżył go do twarzy jego, lekko usta nań przyłożył i rzekł z cicha:

— Schowaj go... ona święta.

I znowu zamknął oczy, zdawało się, że usnął; po chwili wszelako dotknął lekko mej ręki mówiąc:

— Józefie... to ostatnia prośba... zanieście mnie mnie tam... to nie daleko.

Łza zakręciła mi się w oczach. On umierał, a ja go ratować nie mógłem, — nad nami las tylko szumiał i ptaki śpiewały, z nikąd nie było pomocy. Jeden tylko Wach klęcząc zmieniał okłady, a reszta w ponurem milczeniu w bór spoglądała. Wtem zdala doszły uszu moich odgłosy dzwonów nieszpornych. Ludwik otworzył oczy, uśmiechnął się smutnie i szepnął:

— To moje dzwony. Słyszysz? Wołają na mnie.

— Słyszę, Ludwiku — odparłem — pójdziemy tam, ale nie teraz, nie teraz.

— Ja umrę — odrzekł znowu cicho jak tchnienie — idźcie już, idźcie.

Spojrzałem na Wacha. Wach potrząsnął głową, lecz gdy Ludwik błagalnie spojrzał na niego, porwał się i mruknął:

— Zaraz.

Dobył potem z kieszeni długiego noża, uciął kilka sporych gałęzi, następnie zdjął surdut i pokrajał go w pasy, a uczyniwszy to samo z Ludwika odzieżą, skręcił powrozy. Nie wiedziałem do czego zmierza, lecz gdy zaczął wiązać gałęzie, domyśliłem się, że robi nosze.

W niespełna godzinę były nosze gotowe. Z wolna położyliśmy Ludwika na gałęziach, a potem podniósłszy nosze ruszyłem wolno w kierunku, z którego przed godziną dochodziły nas odgłosy dzwonów.

— Ha! może i lepiej — pomyślałem sobie — we wsi znajdzie opiekę, jeżeli Moskali nie ma, a jeźli przyjdą — tu znowu krew ścięła mi się w żyłach, bo wiedziałem, że rannych często dobijają lub wieszają. A bór szumiał nad nami jakoby pieśń żałobną, raz po raz ptak skrzydłami zatrzepotał, albo rogacz z trzaskiem mignął w gęstwinie i żal wielki ogarnął serce moje. Zmęczeni posuwaliśmy się wolno tylko naprzód, zmieniając się co chwila przy noszach, z których dochodziły nas raz po raz bolesne jęki.

Wieczór nadchodził, a bór stawał się coraz rzadszy. Wreszcie stanęliśmy na skraju lasu i przed nami cudowny roztoczył się widok.

Łąki żółtemi kwiaty umajone w czerwonych blaskach zachodzącego słońca i w perłach rosy gdzieniegdzie już połyskującej tchnęły taką rozkoszą, że rozpłynąć się chciało w tych kwiatach i trawkach jedwabnych. Pod borem stał domek leśnika, a winne krzewy w pieściwe tuliły go objęcia i bzy sączyły woń wokół daleko. Przed chatą na ławie leśnik igrał z dwoma chłopczykami, pnącymi się po kolanach ojcowskich; matka czule przypatrywała się pieszczochom, — wszystko tchnęło miłością i weselem. Na prawo zaś widniały słomiane strzechy wioski prześlicznej i kościółek drewniany opodal, miluchny i sympatyczny choć prosty i od starości zgrzybiały. Postawiwszy nosze na ziemi, wysłałem Wacha na zwiady, a wkrótce ujrzałem go wracającego z leśnikiem, który ściskając nam serdecznie dłonie zapewnił, że Moskali nie ma i choremu natychmiast ofiarował schronienie. Pomógł nam podnieść nosze i sam niósł go z Wachem ku chacie, a Ludwik blady poruszał ustami jakby chciał coś mówić, ale głosu nie wydobył. Schwyciłem go za rękę i uczułem, że puls słabnie coraz więcej.

— Prędzej! — zawołałem — prędzej!

Wnet stanęliśmy u progu chaty, lecz w chwili, gdy nosze zniknąć miały w drzwiach niskiego domku, Ludwik zaczął znowu poruszać ustami i szeptał coś niezrozumiale. Schyliłem się nad nim i usłyszałem tylko te słowa:

— Wioska tam... tu... patrzeć.

Domyśliłem się, że wioska z kościółkiem, to miejsce rodzinne Ludwika, więc złożyliśmy nosze przed domem i wsączywszy blademu jak śmierć biedakowi kilka kropel rumu w usta, lekko unieśliśmy go i oparli na poduszkach, które żona leśnika podała. Wach uchwyciwszy rannego za rękę, odwrócił się i szepnął:

— Śmierć.

A tymczasem oczy Ludwika jakimś dziwnym pałały blaskiem. Zdawało się, że całą duszą uleciał nad te łąki i chaty ojczyste, gdzie szczęście jego zostało, a chaty paliły się w zachodu słońca aureoli i na łąkach tysiące już teraz błyszczało pereł. Po rosie zaś płynęły harmoniki dzwięki, które opodal wieśniacza wygrywała ręka. Ludwik patrzał blady i milczący i słuchał muzyki sielskiej. Wtem artysta wiejski zmienił nutę, — jakieś drżenie przeszło mnie i dziwny smutek i tysiące wspomnień przeleciało po głowie, — artysta grał krakowiaka.

Gorączkowy rumieniec oblał w tej chwili twarz Ludwika, podniósł się z poduszek, wyciągnął rękę jakby dzwięki chciał chwycić w przelocie i do serca tulić, a potem spojrzał na mnie, uśmiechnął się przez łzy i przerywanym głosem powtarzał:

— Krakowska nuta... słodka muzyka... to nasze... nasze...

Zmęczony wysiłkiem upadł na poduszki. Myśleliśmy że kona, lecz on raz jeszcze otworzył wielkie, czarne swe oczy.

— Józefie! — szepnął — anioł Polski witał nas niegdyś tą nutą, a dzisiaj żegna nas. Bądź zdrów... ja ciebie kochałem... bardzo kochałem... patrzaj tam na łąkach ona w liljowej szacie... z wiankiem na głowie... śmieje się do mnie... wabi mnie ku sobie... idę już Maryo... bądźcie zdrowi... Jezus, Marya...

Były to ostatnie błyski gasnącej lampy. Drżenie przeszło ciało jego, usta poruszały się jeszcze chwil kilka bez dźwięku, oczy w słup stanęły, — i stanęło to serce szlachetne, gorące, czyste jak łza dziewicza. Powstańcy zdjęli czapki pokornie i widziałem łzy po licach spływające i słyszałem łkanie ciche wokoło, a ja niemy byłem z boleści i dzikiemi oczyma spoglądałem na trupa.

— On umarł! Boże litośny! Ludwik mój, brat mój, druch mój serdeczny!

Coś ścisnęło mi gardło, coś oddech mi w piersiach zaparło, chciałem krzyczeć, — napróżno! Wtem Wach koło mnie ryknął płaczem całując martwe dłonie ukochanego porucznika, a krzyk jego zbudził mnie z odrętwienia. Porwałem się z ziemi i znów rzuciłem się na drogie ciało i wyłem z bólu i rozpaczy. A potem wzięli go, zanieśli do boru, grób wykopali i — ot, nie ma co mówić.

Nie żyje biedny mój Ludwik, Wachu zginął, inni umarli, ja sam tylko tułam się po świecie. Nad grobem jego szumią dęby stare, wicher liście ściele na mogile... nie ma go, nie ma mego Ludwika.

. . . .

Tu umilkł kapitan i w bolesnej pogrążył się zadumie, a wiatr łagodny szemrał w kasztanach niby koniec smutnej opowieści. Po chwili podniósł się starzec, wsparł się na mojem ramieniu i szedł cichy ciemną aleją jak duch z dalekiej przeszłości, jak lirnik stary, który pieśń bolesną wyśpiewał. Blady księżyc płynął za chmury, drzewa smutnie chyliły korony i nuciły o życiu złamanem, o sercu rozdartem i mogiłach, na których płaczą miljony.

Obrazy historyczno-przyrodnicze z świata roślinnego.

(Ciąg dalszy).

V. Chinina.

Tropiczne okolice naszej ziemi są bogate w świat roślinny. Ale wszystko co piękne z jednej strony, jest niekiedy ze strony odwrotnej straszliwe. Są tam okolice, gdzie słońce paląc prostopadle promieniami, zdaje się wszystko w popiół zamienić, ale nie może, gdyż ustawiczne deszcze, ulewy, o których my ani wyobrażenia nie mamy, zalewają żar słoneczny i zbierają się we wielkie jeziora, które zaraz zarastają roślinnością i niedługo tworzą straszliwe bagniska. Słońce z nich uprowadza wielką ilość zgnilizną zatrutej pary i rozszerza ją po okolicy. Tam w tych stronach znajduje się wielki nieprzyjaciel ludzkości, gorszy od cholery, bo cholera przejdzie jak burza, i znowu słońce zajaśnieje, podczas gdy ów nieprzyjaciel ustawicznie tam przemieszkuje i ustawicznie niezliczone zabiera ofiary.

Nieprzyjacielem tym jest febra.

Mieszkańcy tam urodzeni mogą się łatwiej oprzeć owej febrze, gdyż od urodzenia do tego zgniłego powietrza przyzwyczajeni, ale straszliwą ona jest dla nowoprzybyłego Europejczyka.

Wprawdzie i w Europie ludzie na febrę chorują, ale tu febra nie zabija nagle, od razu, jak cholera, tylko zwolna trawi siły ciała ludzkiego, aż je strawi.

Czyżby środek, któryby febrę pewno i skutecznie usuwał, nie miał być wielkiem dobrodziejstwem dla ludzkości? A jestże taki środek? Na szczęście mamy taki środek, a jest nim **c h i n i n a**, czyli **k o r a d r z e w a c h i n i n o w e g o**. Ze wszystkich środków lekarskich, wziętych ze świata roślinnego, żaden bezwątpienia nie jest zbawienniejszym, zwłaszcza, że jest zupełnie pewnym.

Z początku dawano choremu na proszek utartą korę, albo też odwar z niej. Nie było to wygodnem, gdyż chory był zmuszony spożyć przynajmniej 2 łuty proszku, za nim skutek nastąpił. Dziś do uzdrowienia potrzebny jedyny jeden proszek. Jest on biały i nazywa się chininą. Ów biały proszek jest częścią składową kory drzewa chininowego, alkaloid, jak kofeina, teina i teobromina, tylko oczywiście inny skutek wywierający. Najlepsza kora tego drzewa nie daje chininy więcej nad 3 procent, dlatego też cena jej jest wysoką, i funt kosztuje czasem do 40 talarów.

Pierwsi Europejczycy, którzy się o właściwości kory chininowej dowiedzieli, byli Hiszpanie. W jaki zaś sposób się dowiedzieli, rozmaite o tem są opowiadania. Oto jedno najwięcej znane i przez wiarogodne osoby potwierdzone:

Kiedy Hiszpanie zdobyli Peruwią, włożyli pierwotnym mieszkańcom okrutne jarzmo na karki, znęcając się nad nimi w najstraszliwszy sposób. Chciwość ich nie miała granic, i zgro-

madzali skarby. Ale chociaż udało im się ujarzmić biednych mieszkańców i wszelkie ich zakusy wybicia się na wolność pokonali z łatwością bronią palną, stali jednakże bezsilni wobec najstraszliwszego ich nieprzyjaciela w tym kraju, to jest przeciw febrze. Zaledwie okręty przywożeniem nowych osadników zdołały wypełnić luki i szczerby, które febra w szeregach europejczyków wyłamywała. Mieszkańcy rodowici Peruwii znali skuteczny środek na febrę, ale za nic w świecie nie byliby go zdradzili Hiszpanom, uważając we febrze swego sprzymierzeńca, który skuteczniej wojował z ich wrogami, aniżeli oni sami ze swymi łukami.

W Lima, stołecznem mieście Peruwii, panował w roku 1640 hrabia Chinchon, jako wicekról. Żona jego była aniołem dobroci i łagodności, i starała się dobrocią wynagrodzić uciemiężonemu ludowi surowe postępowanie męża, o ile to było w jej mocy. Miała ona za niewolnicę młodą Indyankę, która z wielką miłością i uszanowaniem przywiązała się do swej pani. Nagle hrabina razem ze swą służącą dostały febry. Lekarz zajął się panią z wielką troskliwością i użył wszelkich środków, ale napróżno, śmierć zbliżała się szybkim krokiem. Tymczasem biedna niewolnica leżała w podwórzu w samotnej, nędznej izdebce, i nikt o nią się nie troszczył. I do niej śmierć się zbliżała, i już stygło prawie jej serce.

Wtem o północy, cichaczem skrada się do niej brunatny Indyanin, ojciec dziewczęcia. Wszedłszy do jej izdebki podaje jej we wyżłobionym suchym ogórku sproszkowaną korę jakiegoś drzewa.

— Bierz ten proszek i zażyj go — rzekł cicho i prędko — a wyzdrowiejesz; ale tyrani muszą umrzeć. Milcz troskliwie przed każdym, com ci dał i powiedział.

Po tych słowach znowu szybko i pocichu się oddalił.

Dziewczę trzymało ów uzdrawiający proszek w ręku, i myślało o swej pani, do której większą miłość czuła, aniżeli obawę przed śmiercią. Zrywa się więc ze śmiertelnego łoża i chwiejnym krokiem udaje się do pani, gdzie obecnemu lekarzowi wręcza swój proszek. Było go dosyć, aby obydwom niewiastom można było przywrócić gasnące już życie. Wnet też choroba przeminęła.

Teraz jednakże rozpoczęło się poszukiwanie, z czego ów proszek się składał, i niezadługo tajemnica Indyan została odkrytą. Drzewo zaś, które tak skuteczne i zbawienne zawierało lekarstwo, nazwano na cześć hrabiny: «chinchona», z czego później powstało chinina, a to dla tego, że w korze znajduje się część składowa lekarska, chinina, podobnie jak kofeina, teina i t. d.

Drzewo chininowe dorasta do 20 stóp (6 i pół metra), a grubość jego wynosi około 9 do 10 centymetrów średnicy. Kora jest szara i popękana. Zrobiwszy w niej nacięcie, wypływa sok mleczny, bardzo gorzki. Kwitnie różowo i pachnie pięknie, owoc jest torebkowaty, i przy dojrzeniu pękając, wysypuje miliony drobniuteńkich ziarn nasiennych.

Drzewo chininowe nie tworzy ani lasów, ani gajów, lecz natrafia się tylko pojedyńczo po lasach. Trudno je wynaleść, i jedynie Indyanie umieją tę sztukę. W maju zwykle wychodzą na szukanie. Indyanin wskrabuje się na najwyższe drzewo leśne i patrzy po lesie. Wćwiczone oko jego już zdala poznaje po liściu drzewo chininowe. Odszukawszy, ścinają je i odzierają korę w szerokich pasach, poczem suszą je w czasie pogody na słońcu, w czasie zaś niepogody lub mgły w szałasach.

Dziwić się należy, że tamtejsze rządy, prócz Boliwii, nie starają się o uprawę tego nieocenionego drzewa. Handel korą chininową amerykańską spoczywa wyłącznie w ręku spekulantów, którzy jedynie pomni na własny zysk, wycinają je bez miłosierdzia, nie dbając o przyszłość. Nigdy im na myśl nie przyjdzie, aby w miejsce ściętego zasadzić nowe. Na ten sposób czas przyjść może, że owo drzewo całkowicie zaginie.

Europejscy przyrodnicy zrobili już o tem wzmiankę, a rząd francuski wysłał umyślnego przyrodnika, aby sprawę tę naocznie zbadał na miejscu. Przyrodnik ów znalazł tak, jak opisano i przekonał się, że drzewo chininowe, którego siły lekarskiej żadne inne zastąpić nie może, chyli się już ku końcowi.

Aby rządy amerykańskie spowodować do uprawy chininy, o tem ani myśleć nie było można. Więc rząd holenderski postanowił przesadzić drzewo chininowe na wyspę Jawę. Jednakże tu nie małe zachodziły trudności, gdyż rządy amerykańskie jak najpilniej strzegły, aby za granicę ani najmniejszego nie wywożono drzewięcia. Rząd holenderski więc musiał tajemnie, po złodziejsku, postarać się o owo drzewo. Wysłał tedy w roku 1853 niejakiego Hasskarl do Ameryki, który po bardzo wielu trudnościach dostał się wreszcie do lasów, gdzie drzewo chininowe rośnie. Natychmiast uzbierał pełne pudełko nasienia i ukopał 150 młodych drzewek, które odesłał okrętem do Holandyi. Pudełko z nasieniem doszło wprawdzie na czas, ale drzewka zmarniały przez niedbalstwo spedytora.

W roku 1854 udało mu się uzbierać 500 młodych drzewek z tak zwanego Calysay, czyli «królewskiego drzewa chininowego», i to wprawdzie na wielkiej wysokości rosnącego, bo w pobliżu jeziora Titicaca. Tymczasem rządy amerykańskie zmiarkowały, po co właściwie Hasskarl przybył do Ameryki. Trzeba mu więc było co prędzej uciekać. Teraz nastąpiły trudności prawie nie do pokonania. Miał on 21 pudeł ze żywemi drzewkami, a te pudła trzeba było przenosić przez niebotyczne góry, wielkie rzeki lub szerokie pustynie. Trżeba było drze-

wka raz chronić przed straszliwym upałem, inny raz przed mrozem.

Jednakże w grudniu 1854 dostał się szczęśliwie do Jawy, gdzie natychmiast żyjące jeszcze drzewka zasadzono, i to na wyżynie 3816 stóp (1579 metrów) wysokiej. Pomimo, że wiele drzewek w drodze zniszczało, jednakże pozostało się jeszcze wiele zdatnych, które się pięknie przyjęły i we wykształconym świecie obudziły żywe uczucie radości, że owo nieocenione drzewo nie wymarnieje.

Rząd holenderski zaś przez owo przesadzenie drzewek chininowych na Jawę, zmazał plamę, jaka na nim od wieków spoczywała z powodu jego tyraństwa na Cejlonie i Molukkach.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Boże, ulituj się!...

Dziewiąta biła na wieży pobliskiego kościoła, gdy na schodach rozległ się rumot, a potem ciężkie stąpanie. Dorota pobiegła do drzwi i otwarła je szeroko. Poznała po chodzie, że to mąż jej wraca.

Wraca, mój Boże, ale w jakim stanie? Ledwie na nogach się trzyma. Dziś dzień wypłaty w kopalni. Grosz odebrany ma starczyć na 2 tygodnie życia dla ich obojga i dzieciny. Mąż wraca podchmielony. Już więc trochę tego krwawo zarobionego grosza utonęło w kieszeni u żyda, a tu każdy fenyg drogi. W sklepie jest dług do zapłacenia, gospodarzowi komorne, zima idzie, więc trzeba obuwia, dziecko nie ma żadnej cieplejszej odzieży.. Boże, mój Boże, a mąż pije i grosz marnuje...

— Na co otwierasz — odzywa się, ledwie stanąwszy na progu — czy myślisz że nie trafię, żem może pijany?

Z temi słowami wtoczył się do izby górnik Andrzej, młody jeszcze, silny mężczyzna.

Dorota nic nie odrzekłszy zamknęła drzwi i poszła do pieca, dobyła z niego garnek «żuru» i w tygielku ziemniaków i postawiła na stole przed Andrzejem, który spuściwszy ciężką głowę, siedział w kapeluszu na ławie.

— Jedz, Andrzeju — rzekła cicho.

— Hę? Jak? — zapytał Andrzej.

— Wieczerza na stole — odpowiedziała na to Dorota urywanym głosem, bo boleść ściskała jej gardło.

— Wieczerza? Aha! — mruknął pijany! podniósł głowę, otworzył szeroko oczy i począł się śmiać.

— Co? Ja mam «żur» jeść? Żur? A na co «geldtag» był? Hę? Ja mam pieniądze!

Tu uderzył się po kieszeni, w której zabrzęczało.

— Nie miałam ani grosza przy duszy — odrzekła na to Dorota — jeno trochę mąki, a ziemniaki. Myślałam, że przyjdziesz prędzej i dasz mi pieniędzy. Byłabym skoczyła po mięso.

— Jeno mi nie przymawiaj — bryknął Andrzej — żem późno przyszedł, bo mnie zaraz złość chwyta, a ty wiesz, że gdym zły...

Dorota nic nie odrzekła. Andrzej opuścił głowę. Chwilkę panowało w izbie milczenie takie, że oddech śpiącego dziecka wyraźnie słychać było. Dorocie kapały łzy z oczu, siedziała na łóżku, w którem dziecko jej spało i milczała. Wiedziała bowiem, że w tym stanie, w jakim się Andrzej znajdował, każde słowo mogło go rozgniewać, a gdyby się rozgniewał, o Boże, cóż on uczyni?

— No, nie dostanę czego innego? — zapytał po chwili Andrzej.

— W domu nie ma niczego — odparła Dorota — daj mi pieniędzy, pójdę zobaczyć, czy jeszcze sklepy otwarte, kupię i ugotuję...

— Ha, ha, ha — zaśmiał się mąż — jakaś ty mądra! Pieniądze chcesz mi wziąć? Alem ja nie głupi! Rozumiesz, ja nie głupi; pieniędzy nie dam.

— Zkąd mam tedy wziąć pieniądze na mięso? — odrzekła Dorota łkając.

— Od czegoś żoną? «Szafuj», zkąd chcesz! Ho, ho, nie głupim dawać ci pieniądze.

Znowu chwilę panowało milczenie. Dorota nie mogła zamknąć boleści w sobie i mimowoli załkała. Andrzej posłyszał i odezwał się:

— Beczysz? Czemu beczysz? Skaranie Boże z taką kobietą. Człek przyjdzie od roboty do domu, a ta beczy!

— Żeby to od roboty — odrzekła Dorota — przyszedłbyś inny.

— Już mi znów wycierasz oczy szynkiem? Bodaj cię też...

— Andrzeju, nie mów tak głośno, bo zbudzisz Maryśkę, a wiesz, że biedactwo chore.

— Co? Głośno nie mam gadać? — wrzasnął Andrzej i uderzył pięścią w stół. — Kto tu panem, ja, czy wy?

— Andrzeju, zlituj się — błagała Dorota — Maryśka ledwie usnęła.

— To mi wszystko jedno — krzyczał Andrzej — ja mogę gadać głośno i będę gadał i kwita. Toby mi się podobało!

Tu powstał, ale ciężka głowa przechyliła się w prawo i Andrzej się potoczył ku łóżku.

Dorota porwała się szybko i stanęła przed łóżkiem, aby Andrzej nie padł na śpiące dziecko.

— Idź, połóż się, Andrzeju — rzekła łagodnie.

— Mam się kłaść o próżnym żołądku? Nie, nigdy. Gadacie baby, że my hulamy.

Jak nie mamy hulać, kiedy nam jeść nawet nie dacie, gdy do dom przyjdziemy.

— Toć na stole stoi wieczerza — odrzekła Dorota.

— Żur i ziemniaki! Ładna mi wieczerza. Mięsa chcę! — wykrzyknął Andrzej.

— Toć mówię, daj pieniądze, pójdę i przyniosę.

— Pieniądze i pieniądze, tobie jeno o pieniądze chodzi! Oho, nie głupim, pieniędzy nie dam, a na wieczerzę pójdę do Michelsohna.

I skierował się ku drzwiom. Dorota pobiegła za nim i chwyciła go za rękę.

— Andrzeju, na miłość Boską, zostań w domu, nie chódź. Stracisz pieniądze, zmarnujesz zdrowie, zostań.

— Nie zostanę! — upierał się Andrzej — daj mi pokój.

— Zostań.

— Daj mi pokój, mówię, nie przyprowadzaj mnie do złości, bo wiesz przecie... Puść mnie!

— Nie puszczę! Andrzeju, zastanów się co robisz!

— Co? nie puścisz?

Tu pchnął ręką Dorotę, że potoczyła się w głąb izby i potknąwszy się o stołek, wywróciła go. Na ten stuk obudziło się dziecko i poczęło płakać.

— Matuś, matuś! — zawołało.

Dorota podbiegła do łóżka.

W tym czasie Andrzej drzwi otworzyl i wyszedł.

— Boże, mój Boże! — zapłakała Dorota — ulituj się nad nim.

— Matuś, co wam to? Czemu płaczecie? — poczęła pytać rozbudzona ze snu Maryśka i siadła na łóżeczku.

Dorota ukryła twarz w pościeli i płakała.

— Matuś, matuś, bo ja też będę płakać! Matuś!

— Cicho, Maryśko, nie płacz — odezwała się Dorota, gwałtem łzy wstrzymując — nie płacz, to nic.

— A czemu wy płakali? Czy tatuś was bił?

— Nie, Maryśko.

— A przeciem słyszała pukanie i tatuś wyszedł z izby. Czemu on wyszedł? Przecie noc i do roboty nie idzie?

— Wyszedł jeszcze do miasta — uspokajała matka dziecko — ale zaraz przyjdzie.

— To mi może karmelków przyniesie, co?

— Dziś już nie myśl o tem Maryśko, teraz trzeba spać. Jutro dostaniesz karmelków.

— Czemu nie dziś?

— Nie można. Połóż się serduszko, połóż, bo się jeszcze zaziębisz.

— Ja bym chciała czekać na tatusia — odrzekło dziecko.

— Pewnie tatuś tak prędko nie przyjdzie — odpowiedziała Dorota.

— A czemu nie?

— Bo widzisz...

Biedna matka urwała, bo nie chciała dziecku powiadać o tem, że ojciec był pijany.

— A czemu nie? — powtarzało dziecko.

— Ja nie wiem, może i przyjdzie, ale ty się połóż.

— Matusiu, wy nie wiecie? No, to ja się pomodlę do Jezusinka, ażeby tatuś wnet przyszedł.

Dorotę ogarnęło na te słowa Maryśki takie wzruszenie, że nie mogąc wymówić słowa, pochwyciła dziecko i do piersi przycisnęła.

Po chwili rzekła:

— Uklęknij tedy na łóżeczku i zmów paciórek.

Maryśka, posłuszna, klękła na łóżku i złożywszy rączęta, poczęła mówić:

«Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech»....

Gdy skończyła, dodała jeszcze od siebie:

«Panie Jezusinku, każ memu tatusiowi przyjść wnet do domu!» (Obacz obrazek na stronie 305).

Dorota zaś dodała:

— Boże, ulituj się!...

Potem położyło się dziecko. Dorota okryła je dobrze ze wszystkich stron i siadła przy niem na łóżku. Niedługo dziecko usnęło. Dorota skulona siedziała nieruchomie, płacząc; od czasu do czasu spoglądała na obraz Pana Jezusa i wzdychała:

— Ulituj się nad nim i nad nami Boże!...

A Andrzej? Siedział w szynku u żydka, rzucał talarkami, częstował kamratów i wygadywał na kobiety.

— Żur dają i kłócą się i to ma być człowiek dla nich dobry. Kobiety są do niczego. W ręce wasze!

— Daj ci Boże zdrowie! — odrzekli towarzysze i nowa poszła kolejka.

Żydek stał za szynkfasem, gładził rude pejsy i uśmiechał się...

Ileż to, ile takich Andrzejów na Górnym Szląsku. Boże, ulituj się nad nimi!...

OBJAŚNIENIA DO RYCIN.

Prace nad kanałem panamskim w Ameryce. Amerykę północną i południową łączy wązki kawał kraju zwany Ameryką środkową. Najwęższem jej miejscem jest przesmyk Panama. Okręty, które jadą do zachodnich wybrzeży Ameryki muszą objeżdżać w około Ameryki

Południowej setki mil; podróż to długa i kosztowna dla okrętów państw europejskich. Aby temu zaradzić, pomyślano o przekopaniu Ameryki Środkowej przy przesmyku Panama, tak, iżby okręty tym kanałem prędzej do miejsca swego przeznaczenia dojechać mogły. Pierwszy powziął tę myśl francuzki inżynier, Lesseps, ten sam, który wykonał kanał Suezki (na północwschód Afryki łączy morze Środziemne z Czerwonem, ułatwiając komunikacyą między Europą i Indyami (w Azyi). Narody europejskie poparły ten projekt, bo przedstawiał się bardzo pomyślnym dla ich handlu. Natomiast Stany Zjednoczone Ameryki, obawiając się o swój handel, oświadczyły się przeciwko niemu.

Ale Lesseps nie należy do ludzi, którzy wnet głowę tracą i ręce opuszczają. Tak długo chodził koło sprawy, aż udało mu się zjednać poparcie swego planu u małego państewka Panama, w obrębie którego kanał miał być wykonany. Wezwało go ono do rozpoczęcia robót. Lesseps zajął się w Paryżu utworzeniem towarzystwa akcyjnego, które miało dostarczyć pieniędzy na to przedsiębiorstwo, a potrzeba ich było nie mało, bo około 600 milionów franków. Kanał miał być ukończony w r. 1889. Po tych przygotowaniach udał się Lesseps do Ameryki i tu dnia 22 lutego 1882 uroczystem uderzeniem motyki w ziemię międzymorza*), rozpoczął budowę. Okazało się wkrótce, że trudności w przeprowadzeniu do skutku przedsięwzięcia większe są, aniżeli się spodziewano. Kanał miał być 73 kilometry długi, 30 stóp angielskich głęboki a 72 stopy szeroki na dole. Z postępem robót, o których można powziąść wyobrażenie ogólne z rysunku podanego w dzisiejszym numerze „Światła“ zawady i koszta piętrzyły się coraz wyżej. Mniemano zrazu, iż przyjdzie wydobyć około 75 milionów metrów sześciennych ziemi; później tę ilość obliczono na 120 milionów. W górach Wężowych, mających około 13-tu kilometrów podstawy, trafiono na szczerą skałę, potrzebującą łamania kęsa po kęsie. Górska rzeka Changres, przecinająca drogę kanału, w czasie suszy nie wiele większa od zwykłego strumienia, lecz podczas deszczów zwrotnikowych zamieniająca się w gwałtowny potok, zmiatający wszystko po drodze, musi być sztucznem korytem odprowadzona daleko, ażeby nie zalewała okolicznych przestrzeni. Wspomniane deszcze podzwrotnikowe poczyniły ogromne spustoszenia, spychając wydobytą ziemię napowrót w całości do dołu. W dodatku klimat niezdrowy, zgoła zabójczy dla Europejczyków, zmusza do przepłacania najmowanych Chińczyków, Murzynów i Indyan wysp Antylskich. Do połowy 1887 r. zmarło nad kanałem około 80,000 robotników; niejednokrotnie z dziesięciu pracujących ledwo jeden pozostawał przy życiu!

Wynikiem tego wszystkiego było, że przed ukończeniem połowy robót ziemnych w roku 1886-tym, wydatki już czyniły 700 milionów franków, a zatem więcej niżeli rachowano na całkowitą budowę. Jeden z Amerykanów, który towarzyszył panu Karolowi Lessepsowi, synowi znakomitego inżyniera, gdy ten oglądał roboty w roku 1887, przypuszcza, że wydatki na żłobienie i wykończenie kanału, oraz na wszelkie dzieła dodatkowe, wyniosą w ogóle około dwóch miliardów franków. Trudność to jednak możliwa do przezwyciężenia. P. Lesseps w 1888 roku przeprowadził w sejmie francuzkim prawo, upoważniające towarzystwo międzynarodowe panamskie do wypuszczenia pożyczki loteryjnej na 720 milionów franków, i pożyczka nie chybiła.

Pieniądze te jednak nie wystarczyły, co zaś najgłówniejsza, ludzie poczęli nie ufać, że się przedsiębiorstwo w ogóle uda, do czego się nie mało Stany Zjednoczone przyczyniały, rozsiewając zastraszające pogłoski. Ztąd poszło, że akcye towarzystwa panamskiego nagle spadać poczęły, pieniędzy zabrakło i Lesseps w końcu roku 1888 roboty dla braku środków przerwać musiał. Sądzono, że rząd francuzki sprawą tą się zajmie i dopomoże do ukończenia kanału. Oczekiwania jednak zawiodły. Napróżno Lesseps pukał tu i tam o pomoc. Tak tedy leży obecnie to dzieło niedokończone. Amerykanie się uśmiechają z tego i zacierają ręce, a niektóre gazety piszą, że Ameryka kanału dokończy. Jak wypadnie sprawa niewiadomo, ale, że Stany Zjednoczone nie byłyby od tego, dowodzi, że w r. 1884 chciały utworzyć towarzystwo akcyjne celem przekopania innego kanału. Bądźcobądź zasługą Lessepsa pozostanie projekt kanału, a choćby dzieło ukończył kto inny, potomność zwiąże z niem imię znakomitego francuzkiego inżyniera.

Nosorożec. W Indyach azyatyckich, po lasach jest ogromna moc wszelkiego zwierza i gadzin przeróżnych, jest to kraj bogaty w płody ziemne, bo rosną tam cytryny, pomarańcze, ryż, trzcina cukrowa, cynamonowe drzewo i wiele jeszcze innych. Po tamtejszych polach i lasach gospodarują sobie tygrysy drapieżne i ogromne słonie. Zwierzę, które widzicie na dzisiejszym obrazku na stronie 304, także żyje w Indyach, nad któremi, jak wiadomo panują Anglicy. Zwierzę to nazywa się nosorożcem, boć na nosie ma wielki, przeszło na łokieć długi róg. Nosorożec jest brzydki, niezgrabny, ociężały, skóra na nim, jak na słoniu, jest tak gruba, że kula karabinowa nie przebije jej, a róg na jego nosie tem się odznacza, że wewnątrz nie pusty, jak u wołu, ale twardy i pełny.

Nosorożec nie jest drapieżnem zwierzęciem, bo żywi się tylko roślinami, jednak skoro tylko posłyszy zbliżającego się człowieka, rzuca się w tę stronę, jak wściekły, łamie wszystko po drodze, obala, tratuje nogami i rozbija rogiem.

Indyanie, których widać na obrazku, z wielkim strachem uciekają przed rozwścieczonem zwierzęciem; sami jednak zapewne są winni

*) Międzymorze czyli przesmyk jest to wąski pasek ziemi łączący dwa lądy.

temu, że nosorożec ich goni. Dla smacznego mięsa, rogu jego lub grubej skóry, zaczaili się oni pewno na niego ze strzelbą i nożami, kiedy spał, ale że kulą nie trafili zwierzęcia w oko, tylko gdzieś w skórę, więc obudziło się ono i pogoniło za myśliwymi. A oni i o strzelbach i o sztyletach zapomnieli, jeno uciekają, gdzie który może, boć co prawda niezbyt byłoby im wygodnie pod nogami tego zwierzęcia, lub gdyby ono zawadziło o ich ciało swoim rogiem. Wzrok nosorożec ma bardzo slaby, za to słyszy wybornie; gdy człowiek znajduje się od niego na przeszło 30 kroków, to byle tylko wiatr dął w stronę zwierzęcia, poczuje go ono i pobiegnie, by stratować, zabić. Biega też nosorożec bardzo prędko, a żadne przeszkody nie wstrzymają go, gdyż wszystko po drodze łamie się i obala pod ciężarem jego cielska.

GOSPODARSTWO.

— **Jak należy desinfekcyonować pomieszkanie, które zajmował chory zakaźny.** 1. Przedewszystkiem należy w miastach, gdzie są przyrządy desinfekcyjne, bieliznę, jakiej chory używał jako też ubranie, pościel, poduszki i materace oddać do odwietrzania w tych przyrządach. W miejscowościach zaś, gdzie ich nie ma, potrzeba słomę z łóżka spalić, podobnież i trawę morską; bieliznę tak z chorego jak i z pościeli wygotować w szarem mydle i starannie ją wypłukać, poduszki, pierzyny i kołdry przewietrzyć przynajmniej przez dni 14 na wolnem powietrzu, a kołdry wełniane wywałkować na gorąco.

2. Posadzkę trzeba dobrze skropić i zamieść, a śmieci i inne przedmioty bez wartości o ile można spalić w piecu w tej samej stancyi, którą się odwietrza.

3. Następnie należy posadzkę, drzwi, okna i inne rzeczy niepoliturowane dobrze obetrzeć szmatą zmaczaną w rozczynie 5-cio procentowym kwasu karbolowego, albo w rozczynie sublimatu 1 na 2000.

4. Ściany i sufity czy malowane, czy też tapetowane wytrzyć chlebem, a chleb do tego użyty spalić. Ściany bielone najlepiej zeskrobać i świeżo wybielić.

6. Rzeczy z metalu, meble politurowane, rzeźby, obrazy dobrze obetrzyć suchemi szmatami.

5. Rzeczy skórzane, albo gumowe obetrzyć szmatą zwilżoną w rozczynie kwasu karbolowego (5 na 100) albo sublimatu (1 na 2000).

7. Szmaty używane do obcierania należy spalić.

8. Po ukończeniu desinfekcyi zostawić drzwi i okna otwarte przynajmniej przez dwie doby.

— **Przeciw kaszlowi** zalecają lekarze herbatę z słomy owsianej, którą przecież, zwłaszcza na wsi, każdy ma pod ręką. Gotuje się ją zupełnie zwyczajnie. Słomę można pociąć na sieczkę, zagotować ją, ostudzić nieco i osłodzić. Dwa razy dziennie trzeba przynajmniej napić się tej herbaty, a w 3 4 dniach zginie, chociażby najuporczywszy kaszel. Ta herbata leczy podobno także katar krtani i gardła. Nie zaszkodzi przekonać się.

— **Pielęgnowanie wzroku.** Kto pragnie mieć zdrowe oczy, nie powinien pracować przy słabem oświetleniu; trzeba też uważać, żeby światło padało z lewej strony, nigdy zaś z przodu lub z tyłu. Po wielkiem znużeniu, lub po chorobie nie należy męczyć wzroku; szkodliwem jest także czytanie w postawie leżącej lub z głową schyloną. Wytężanie oczu przy pracy przez czas dłuższy źle na nie oddziaływa; trzeba od czasu do czasu przerywać robotę, ażeby wzrok nieco wypoczął. Dla osób pracujących umysłowo ruch na świeżem powietrzu jest niezbędny; należy wtedy wpatrywać się w dalekie przedmioty, a będzie to rodzaj gimnastyki bardzo dobry dla oczu, które przez kilka godzin ślęczały nad drobnym drukiem lub pisaniem. Jeżeli wzrok jest bardzo zmęczony pracą, nie trzeba wystawiać go bezpośrednio na działanie wiatru lub silnego mrozu, lecz zapewnić mu przedtem krótki odpoczynek. Wpatrywanie się w błyszczące lub bardzo jasne przedmioty jest także szkodliwe. W ogóle trzeba dbać o zdrowie i wzmocnienie sił, gdyż choroby oczu najczęściej wywięzują się z ogólnego osłabienia.

ROZMAITOŚCI.

* **Do czego właściwie przydatnym jest mężczyzna?** Zajmującym jest sąd pewnej amerykanki o mężczyznach: „Dziwny to naród ci mężczyźni. Noszą buty nr. 10 i chrapią. Noszą kapelusze wyszargane nieraz do granic ostatatniej możliwości. Tak samo nie dbają o swe parasole: albo je gubią, albo też noszą je tak, że w każdej chwili mogą każdemu niemi wykłuć oczy. Mężczyźni są zawsze stali w swych postępkach. Lubią gdy damy chodzą całkiem po prostu ubrane, bez niepotrzebnych błyskotek. Ale gdy taka skromnie i po prostu ubrana dama wejdzie do wagonu tramwajowego, to może czekać całą godzinę, zanim który wielbiciel „oszczędnych gospodyń" wstanie i ofiaruje jej swe miejsce. Natomiast gdy wejdzie kobieta naśladująca wszystkie fabryki mody i ubrana w toaletę bijącą w oczy, to ci sami panowie zrywają się z miejsc jak oparzeni i rwą się o zaszczyt — stania na platformie, by ona mogła usiąść na ich miejscu. Jeżeli się mężczyzna przeziębi, to myśli, że już musi umrzeć; lecz gdy mu żona dla ulżenia jego boleściom poda talerz kleiku owsianego, to odpowiada, że może go schować na przyszły tydzień. Chociaż panowie stworzenia są odważni, to przecież w obejściu się z kobietami i dziećmi pokazują się prawdziwymi niedołęgami. Gdy wezmą małe dziecię na ręce, to zawsze należy się obawiać, że je zaduszą. By tylko powiedzieć coś nowego, mówią, że dziecko jest prześliczne, jak gdyby matki nie było na świecie. Dziecko

czteromiesięczne położą na podłogę i każą mu biegać i wpadają w rozpacz, gdy ono zaczyna wrzeszczeć. Mężczyźni dają się chętnie fotografować i zawsze potwierdzą, że ich nie dobrze trafiono. Studenci medycyny są po prostu okropni: gdy często w jakim domu robią wizyty, należy pilnie baczyć na psa, bo mogą go ukraść dla anatomii. Gdy zrobią doktorat stają się znośniejszymi, zdobywają sobie praktykę na balach i wycieczkach towarzyskich. Prawnicy są nad miarę zarozumiali i myślą, że wszystkie dziewczęta są w nich zakochane. Często dają się fryzować, są najlepszymi tancerzami, ale ich konwersacya jest nudna. Wszyscy mężczyźni mają duże ręce i nogi. Wielka część jest niecywilizowaną i nadeptuje damom na suknie, gdy się zrywają przestraszone. Mężczyźni są wielką lichotą, ale bardzo przyjemnie mieć ich w domu podczas burzy. To jest zapewne jedyna przyczyna, dla której każda panienka stara sobie złapać przynajmniej jednego z tych potworów!

* **Tuzin parasoli.** Rada gminna pewnego miasteczka w włoskiej prowincyi Liguryi uchwaliła zakupić 12 parasoli, aby ojcowie miasta, zaskoczeni przez deszcz podczas siedzenia, mieli się czem osłonić. Dziennik „Tribuna“ donosząc o tym fakcie, radzi dbałym o zdrowie swoje rajcom, aby zakupili jeszcze tuzin paltotów na wypadek nagłego zimna, oraz tuzin portmonetek, w które należy włożyć pewną kwotę, aby ojcowie miasta nie wychodzili z ratusza bez grosza na wypadek, gdyby zapomnieli wziąść z domu mamony.

* **Walka z cudzoziemczyzną.** Niemców opanowała obecnie mania oczyszczenia swego języka z wyrazów cudzoziemskich, które istotnie w bezprzykładnym stósunku mnożyć się poczęły. Ale, jak we wszystkiem, tak i na tem polu, nie należy przesadzać. Tymczasem jednemu z fabrykantów cygar w Düsseldorfie nie podobała się cudzoziemska nazwa „cygaro“, ogłosił więc konkurs z nagrodą za najlepsze „zniemczenie“ tego wyrazu. Jedno z pism humorystycznych „Deutsche Wespen“ podaje więc na użytek p. fabrykanta następujący dobór wyrazów: Dla gatunków lepszych: Szparag dymiący, Parowy ołówek, Węgórz ognisty, Kopciuszek, Berło ustne, Wonna strzała, Matka myśli itd.; zaś dla gatunków podrzędniejszych: Truciciel, Morderca apetytu, Gwóźdź do trumny, Knot nikotynowy, Zjadacz fenygów itd. Naturalnie, nazwy te w języku niemieckim są jednowyrazowe i brzmią o wiele dowcipniej.

FRASZKI.

Jegomość ogromnej tuszy kazał się odwieść jednokonką na drugi koniec miasta. Dorożkaż spojrzał na nędzną swą szkapę, potem na owego jegomości, poskrobał się w głowę i po chwilowym namyśle rzekł:

— Możebym wielmożnego pana zabrał na dwa zachody, bo na raz szkapa nie wydoła

* * *

— Więc powiadasz, że twój ojciec dawno umarł?

— A jużci! — będzie temu z dziesięć roków.

— I na co umarł?

— Ze zmartwienia, że go powiesili.

* * *

Pani ekonomowa, jadąc do Warszawy z dwoma córkami, miała w bryczce także dwie gęsi. Stanąwszy na rogatce i zapytana co wiezie, odpowiedziała:

— Tylko dwie gęsi.

Dozórca rogatkowy nie widząc nic innego tylko owe dwie córki, rzekł:

— Od takich gęsi nic się nie płaci.

* * *

W pewnem mieście był kupiec, który za godło miał napis: „Pod dwoma małpami“. Razu jednego wchodzi do sklepu prowincyonalista i zbliżywszy się do właściciela pyta uprzejmie:

— Proszę pana chciałbym się widzieć z pańskim spólnikiem.

— Panie, ja nie mam spólnika, ja jestem sam właścicielem tego sklepu.

— Aha, to pan jesteś sam! dlaczegóż to więc na godle napisano: Pod dwoma małpami?!

Dawnemi czasy w Londynie kobiety nie występowały na scenie. Byli to mężczyźni przebrani, którzy spełniali role kobiece. Pewnego razu Karol II, zniecierpliwiony oczekiwaniem na rozpoczęcie widowiska, rozkazał aby dyrektor z tego się wytłómaczył.

Dyrektor przybywszy rzecze:

— Królowa nie jest jeszcze ogolona.

* * *

Pijak na śmiertelnem łożu kazał sobie podać szklankę wody. Wypiwszy ją rzekł do obecnych:

— Nie dziwcie się, moi drodzy; umierając trzeba się pogodzić z nieprzyjaciołmi.

* * *

NAGROBEK.

Piotra rzeźnika zwłoki tu złożone,
Bił dobrze woły, lepiej swoją żonę.

ZAGADKA.

Pierwsze w alfabecie znajdziemy
Drugiem zwykle przeczymy,
O całości się dowiemy,
Gdy w kalendarz zobaczymy.

Rozwiązanie zagadki w 9. zeszycie:

POSTĘPY.

Dobre rozwiązanie nadesłał p. Ludwik Żur, Wyrów.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Sz.
Redaktor: Adam Napieralski w Bytomiu.

Wydawnictwo „KATOLIKA“ w Bytomiu, ulica Piekarska nr. 15

ma na składzie i poleca następujące książki:

	Mk.
O naśladowaniu Jezusa Chrystusa. 493 str., broszur. 80 fen., oprawa zwyczajna 1 mk., lepsza	1,25
Pociecha dla strapionych czyli o zgadzaniu się z wolą bożą, przez św. Alfonsa Liguorego, biskupa i doktora kościoła.	0,35
Przygotowanie się do śmierci czyli rozmyślania nad odwiecznemi prawdami, użyteczne tak świeckim jako i duchownym. (Św. Alfons Liguori)	1,75
Zabawy świąteczne dla ludu. Nauki i objaśnienia pobożne. 108 stron .	0,30
Józafata Dolina czyli sąd ostateczny .	0,50
Stara baśń. Powieść historyczna z XIX wieku przez J. I. Kraszewskiego. 3 tomy	2,25
Lubonie. Powieść historyczna z X wieku przez J. I. Kraszewskiego. 2 tomy	1,50
Bracia Zmartwychwstańcy. Powieść historyczna z XI wieku przez J. I. Kraszewskiego. 3 tomy . . .	2,25
Masław. Powieść historyczna z XII wieku przez J. I. Kraszewskiego. 2 tomy	1,50
Przewodnik dla cieśli, obejmujący cały zakres ciesielstwa. Podług najlepszych dzieł obcych, z zastósowaniem się do potrzeb i zwyczajów krajowych i do wykonania robót podług najnowszych i najpraktyczniejszych doświadczeń. Wydanie trzecie poprawne z 299 drzeworytami . .	4,50
Przewodnik dla stolarzy, obejmujący cały zakres stolarstwa. Podług najlepszych dzieł obcych z zastósowaniem się do potrzeb i zwyczajów stolarzy Polskich. Wydanie trzecie poprawne z 222 rycinami rozmaitych praktycznych sposobów przyrządów narzędzi oraz z częścią dodatkową o obrachowaniu ile kosztują wyroby stolarskie i ile godzin potrzeba do wykonania najużywańszych wyrobów stolarskich . . .	4,50
Przewodnik dla ślusarzy, obejmujący cały zakres ślusarstwa z 316 rycinami rozmaitych narzędzi praktycznych robót, przyrządów maszyneryi (tryby, wiertarnie, tokarnia do toczenia drzewa i żelaza, z rycinami) mebli żelaznych oraz rozmaite przepisy w tajemnicy trzymane . . .	5,00
Przewodnik dla szewców. Zbiór najcelniejszych wiadomości do kunsztu szewckiego należących podług najnowszych źródeł i doświadczeń z 124 drzeworytami	2,75

	Mk.
Praktyczny poradnik dla gospodarzy czyli nauka chowu, utrzymania, żywienia, poznawania i leczenia chorób koni, bydła, owiec, świń, kóz i psów. Przekład z 21 niemieckiego wydania opracowanego podług dzisiejszego stanu nauki weterynaryi z dodatkiem: kucie koni. Dzieło to uwieńczone nagrodą przez król. Tow. ekonomiczne Marchijskie, z opr. w płótno	4,00
Sycenie miodów	0,70
Nauka o dobrej gospodarce polnej .	0,50
Jan Kochanowski z Czarnolasu. Opowiadanie z ryciną	0,20
Lokaj gospodarzem. Opowiadanie dziedzica dla ludu wiejskiego . . .	0,25
Podróż do Rzymu i Paryża. Odbyta w roku 1861 przez włościanina Feliksa Borunia. Wydanie trzecie, z obrazkiem tegóż	0,40
Siedem wieczorów. Pogadanki o rzeczach pożytecznych	0,40
Ręka opatrzności. Obrazek z życia z 2 rycinami, oprawne	0,45
Dzieci i ptaszki. Z 6 obrazkami, opr. (wierszem)	0,40
W Tatarskiej niewoli. Obrazek z przeszłości z obrazkami, oprawne . .	0,50
Podarunek dla młodzieży. Książka do czytania dla tych co nie chcą być ciemnymi. Wydanie drugie z 50 obrazkami	0,60
Nauki poczciwego Mateusza czyli droga do pomyślności, oraz powieść pod tytułem: Przyjaciele	0,40
Rodzina bohaterska. Powiastka z roku 1863. Zdarzenie prawdziwe . .	0,30
Czarnoksiężnik Twardowski. Powieść z podań ludowych	0,30
Mądrość wieśniacza. Powiastka . .	0,10
Miłość bliźniego. Powiastka . . .	0,10
Straszny strzelec. Powieść . . .	0,30
Zegarek. Powieść	0,30
Pięć powieści dla ludu. Napisała księżna Marya Czartoryska	0,25
Dziwne przygody chłopa Urbana Długonosa opowiedziane dla zabawy przez Figlarskiego	0,25
Cztery powiastki dla Wojtka i Marysi. Wydanie drugie z ryciną . . .	0,40
O rozbójniku Florku, kulawym djable i czarownicy Marysi, bardzo ciekawa historya	0,40
Historya Indyan czyli rozbójnicy na bezludnym stepie. Powieść amerykańska z okolicy Meksyku z drzeworytem na okładce	0,40

☛ Mniejsze należytości można przesyłać znaczkami pocztowymi. ☚

Cygary za połowę wartości

z różnych mas konkursowych i likwidacyjnych tak długo, jak zapas starczy: (H. 12579 b)

Java z **ameryk.** zawartością . .	100 sztuk	2,00	mk.
Sumatra z **Brasil**, łagodne . .	100 „	2,50	„
Sumatra z **Felix**, mocne . . .	100 „	3,00	„
Cuba w **oryg. zapakow.**, mocne	200 „	7,00	„
Hollaender w **oryg. zap.**, mocne	100 „	3,50	„
Sumatra z **Felix** i **Havanna**, łag.	100 „	4,00	„
Manillas, najnowsze zbiory . . .	100 „	4,50	„
Sumatra z **Havanną**, bardzo dobre	100 „	5,00	„
Czyste z **88 Havanna**, ręczna rob.	100 „	6,00	„
Prawdz. Bojamo, kształt Regalii	100 „	7,50	„

Wszystkie gatunki są elegancko zapakowane, wielkiej formy, dobrze ciągnące i palące się bielutko. Co do smaku nie przypadnie odbieram na moje koszta napowrót, przeto żaden kupujący nie ryzykuje niczego. Przesyłka tylko w oryginalnych pudełkach po 100 sztuk za zaliczką. Kto nabędzie większe partye temu cenę się obniży od 5—10 procent. Interes przesyłkowy **H. Zimmera** (Versandt-Geschäft von **H. Zimmer, Fürstenwalde** bei Berlin).

DOBRY KATOLIK

w protestanckich okolicach

Przewodnik na obczyźnie.

Cena pojedyńczego egzemplarza **10 fen.** z przesyłką franko **13 fen.** — 100 egzemplarzy 6 mk. — 500 egzempl. 25 mk. — 1000 egzempl. 45.

Nabyć można

w Ekspedycyi „Katolika“,

Bytom, Piekarska ulica 15.

W EKSPEDYCYI „KATOLIKA“

w Bytomiu, ulica Piekarska nr. 15

nabyć można:

WOLNE CHWILE.

CZASOPISMO ILUSTROWANE DLA LUDU KATOLICKIEGO

poświęcone sprawom religijnym, nauce i zabawie.

Cały rocznik za 2 m. 25 fen.

Należytość najlepiej nadsyłać w znaczkach pocztowych.

Wyszła już z druku i jest do nabycia:

WIERNA RÓZIA

czyli

ZWYCIĘSTWO WIARY KATOLICKIEJ.

Powieść z obecnego czasu, tłómaczył Karol Miarka.

(Wydanie drugie.)

Cena egzemplarza brosz. **60 fen.**, z oprawą **85 fen.**

Na portoryum uprasza się dołączyć 10 fen.

Ekspedycya „Katolika“

w Bytomiu, Piekarska ulica 15.

Bajecznie tanio!

Wyszło świeżo z druku arcydzieło:

„PAN TADEUSZ“

czyli

OSTATNI ZAJAZD NA LITWIE

przez

ADAMA MICKIEWICZA,

na ślicznym welinowym papierze. Stron 293. Cena tylko **20 fen.** W pięknej czerwonej oprawie z czarnemi wyciskami tylko **50 fen.** Arcydzieło to w każdym domu polskim znajdować się powinno. Na porto przesyłać należy 10 fen.

Adresować należy:

Ekspedycya „Katolika“

Bytom G.-Sz.